

Opłata pocztowa uliszczona ryczałtem.

Wies

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok VI

Łódź, 20 lutego 1949 r.

Nr 8 (187)

W NUMERZE

między innymi:

Olbrzymek — Wspomnienia starego robotnika
T. Różewicz — Wiersze
S. Golachowski — Fortepian Chopina
W. Słobodnik — Ku czci Chopina
J. Pogan — Kronika nekrologów
P. Chmura i W. Strzebiński — Dyskusja o Ma-tejce
R. Garaudy — Jak żyją artyści-plastycy we Francji
P. Czyżowa — Błędne rozumowanie
M. Koliba — Przodownikom wsi
K. Sławiński — Dyplomacja atomowa.

Włodzimierz Lenin

SAMOSTANOWIENIE NARODÓW

(Z „Referatu o programie partyjnym“*)

Powiada on (Bucharin), że nie można uznawać prawa narodów do samookreślenia. Naród — to znaczy burżuazja wraz z proletariatem. My, proletariusze, mamy uznawać prawo do samookreślenia jakiejś tam nikczemnej burżazji! To do niczego nie podobne!

Nie, darujcie, jest to właśnie to, co jest zgodne z rzeczywistością. Jeśli to odrzucicie, pozostanie wam fantazjowanie. Powołujecie się na proces różniczkowania, odbywający się w łonie narodu, na proces wyodrębnienia się proletariatu od burżazji. Ale zobaczmy dopiero, w jaki sposób to różniczkowanie się odbędzie.

Wzięcie naprzykład Niemcy, wzór przodującego kraju kapitalistycznego, które pod względem organizacji kapitalizmu, kapitalizmu finansowego, stały wyżej niż Ameryka. Stały one niżej pod wieloma względami, pod względem techniki i produkcji, pod względem politycznym, ale pod względem organizacji kapitalizmu finansowego, pod względem przeistoczenia kapitalizmu monopolistycznego w państwowo-monopolistyczny — Niemcy stały wyżej niż Ameryka. Zdawałoby się, że to wzór. A co się tam dzieje? Czy niemiecki proletariatus wyodrębnił się od burżazji? Nie! Wszak tylko o kilku wielkich miastach donoszono, że większość robotników tych miast jest przeciw szajdemanowcom. Ale jak to się stało? Za pomocą sojuszu spartakusowców z niemieckimi po trzykroć przekłętymi mienszewikami — „niezależnymi”, którzy wszystko płaczą i chcą połączyć węzeł małżeńskim systemem Rad z Konstytucją! Oto co się dzieje w tych właśnie Niemczech! A przecież jest to kraj przodujący.

Tow. Bucharin powiada: „Po co nam prawo narodów do samookreślenia?”

„Ja chcę uznawać jedynie prawo samookreślenia klas pracujących” — powiada tow. Bucharin. To znaczy chcecie uznać to, czego w rzeczywistości nie osiągnięto w żadnym kraju prócz Rosji. To jest śmieszne.

Spojrzenie na Finlandię, kraj demokratyczny, bardziej rozwinięty, kulturalniejszy, aniżeli my. Odbija się w niej proces wyodrębnienia, różniczkowania proletariatu, odbywa się swoiście, w sposób o wiele bardziej bolesny, aniżeli u nas, Finlandczycy doświadczali dyktatury Niemiec, obecnie doświadczają dyktatury Ententy, i dzięki temu, że uznaliśmy prawo narodów do samookreślenia, proces różniczkowania został tam ułatwiony. Pamiętam bardzo dobrze scenę, kiedy w Smolnym wypadło mi wręczyć orędzie Swinhuwodowi — co w przekładzie na język rosyjski znaczy „swiniogłowemu” — przedstawił mi Finlandzkiej burżazji, który odegrał rolę kata. Uprzejmie ścisnął on mi rękę, powiedział mi komplementy. Nie było to piękne! Ale trzeba było uczynić, ponieważ burżazja ta oszukiwała wtedy lud, oszukiwała masy pracujące, opowiadając, że Moskale, szowiniści, Wielkorusi chcą zgniebić Finlandczyków. Należało to uczynić!

A czyż wczoraj nie trzeba było tego samego? w stosunku do Republiki Baskirskiej? Kiedy tow. Bucharin mówi: „Można temu coś owoemu to prawo przyznać”, zanotowałem sobie nawet, że u niego w tym spisie znaleźli się Hotentoci, Buszmeni, Hindusi. Stuchając tego wyliczenia myślałem: w jaki sposób towarzysze Bucharin zapomniał o jednym małym drobniaku, zapomniał o Baskirach? Buszmenów w Rosji nie ma, o Hotentotach też nie słyszałem, by pretendowali do Republiki autonomicznej, ale są przecież u nas Baskirzy, Kirgizi oraz cały szereg innych narodów i im nie możemy odmówić przyznania tego prawa. Nie możemy tego odmówić żadnemu z narodów, mieszkających w granicach dawnego Imperium Rosyjskiego. Przypuśćmy nawet, że Baskirzy obaliliby wyzyskiwaczy i pomogliśmy im to uczynić. Ale przecież to jest możliwe jedynie tam, gdzie przewrót całkowicie dojrzał. I trzeba to uczynić ostrożnie, żeby swoim wtrąceniem się nie zahamować właśnie tego samego procesu wyodrębnienia się proletariatu, który powinniśmy przyspieszyć. Co więc możemy uczynić w stosunku do takich narodów, jak: Kirgizi, Sartowie, którzy dotychczas znajdują się pod wpływem swoich mułłów. U nas, w Rosji, ludność po długim doświadczeniu z popamini pomagła nam ich obalić. Ale wiecie, jak słabo jeszcze wszedł w życie dekret o ślubach cywilnych. Czy możemy zwrócić

się do Sartów i powiedzieć: „Obalamy waszych wyzyskiwaczy”? Tego uczynić nie możemy, ponieważ są oni całkowicie podporządkowani swoim mułom. Tu trzeba doczekać się rozwoju danego narodu, wyodrębnienia proletariatu od elementów burżuazyjnych, co jest nieuniknione.

Tow. Bucharin nie chce czekać. Ogarnia go zniecierpliwienie: „Z jakiej racji? Skoro sami obaliliśmy burżazję, proklamowaliśmy Władzę Radziecką i dyktaturę proletariatu, z jakiej racji mamy tak postępować?” Działła to jak zachęcające wezwanie, jest wytyczną naszej drogi, ale jeśli tylko to będziemy proklamowali w programie, to otrzymamy nie program lecz proklamację. Możemy proklamować Władzę Rad i dyktaturę proletariatu oraz ogłosić całkowitą pogardę dla burżazji, na którą po tysiącokroć zasługuje, ale do programu należy wnieść z absolutną ścisłością to, co jest realne. Wtedy programu naszego nie będzie można kwestionować.

Wojciech Kozera

KTO PRZECIW NIEPODLEGŁOŚCI

W ciągu 32 lat budował Związek Radziecki socjalizm, utrwalał potęgę gospodarczą, niezawisłość i wolność narodów, skupionych w jego granicach. Był jedynym państwem, które w niesławnej pamięci Lidze Narodów i dziś w Organizacji Narodów Zjednoczonych całą powagą swego autorytetu broni i broni wolności i niezawisłości narodów, skrupułowanych i dławionych pętlą imperializmu. W przeciągu tych 32 lat zachodnio-europejska i amerykańska burżazja otaczała go murem kłamstwa i oszczerstwa. Ze chce zniszczyć europejską cywilizację (jakby nie niszczył jej właśnie imperializm), że zagraża dobrobytu świata (jakby tego „dobrobytu” nie niszczyły kryzysy gospodarcze i imperialistyczne wojny), że jest niebezpiecznym dla samodzielnosci narodów, Koślawe kłamstwo siłą rzeczy zwróciło się przeciw insynuatorom. Co działo się w ciągu tych 32 lat w krajach kapitalistycznych?

Kapitalistyczna cywilizacja i kultura przeobraziły się w dławiającą obłąkę narodów: miast dobrobytu przynosiły kryzysy, wojny i bezrobocie, miast wolności — niewolę, miast humanistycznej idei braterstwa narodów — bezustanne waśni i ujarzmienie narodów słabszych i mniejszych. Wyrastaniu potęg imperialistycznych — Anglii, Ameryki, Niemiec, Włoch, Japonii — towarzyszył stale potok uciemiężeń i krwi narodów Europy, Azji i Afryki. Wolność państw imperialistycznych jest zawsze uwarunkowana niewolą słabszych narodów. Jest to prawo tak nieuchronne, jak nieuchronnym są wewnętrzne sprzeczności gnijącego kapitalizmu.

Spojrzenie na mapę świata — przeszła i teraźniejsza, Niemcy zaczęły od Austrii, zagarnęły całą bez mała Europę, marzyły o zdobyciu całego świata. (Heute gehört uns Deutschland, morgen die ganze Welt). Japonia dążyła do ujarzmienia Azji. Anglia dziś jeszcze dusi narody Azji i Afryki. A Stany Zjednoczone? Myślą dziś o tej samej polityce, którą w Niemczech skończyła się klęska Hitlera. Ich plany agresji są nie mniej „dalekosiężne” i nie mniej drapieżne. Tym bardziej, że nie mają już konkurentów.

Konieczność ujarzmienia narodów jest wewnętrzna koniecznością imperializmu. Wynika z kryzysów, które cykl znie łamią gospodarkę kapitalizmu; z konieczności eksportu kapitałów, które siłą rzeczy prowadzą do ujarzmienia krajów, służących za rynek eksportowy; z potrzeby obcych rynków, których imperializm ma zawsze za mało i których niedostatek dławi go (stad wojny, jako rezultat walki o rynki między mocarstwami imperialistycznymi); ze strachu przed rewolucją społeczną, która wyrasta ze schorzonego wnętrza imperializmu i jest z tego względu koszmarnym snem wielkich finansistów i monopolistów.

Oczywiste, że wielcy imperialiści i ich ideologowie nieczęsto przyznają się do swych zamierzeń, rzadko ujawniają przed swymi narodami mechanizm, który zmusza ich do prowadzenia tej drapieżnej polityki. Są raczej skłonni przyozdabiać swą brutalność i cynizm

Stoimy na ściśle klasowym punkcie widzenia. To, co notujemy w programie, jest uznaniem tego, co stało się w rzeczywistości po tym okresie, w którym pisaliśmy o samookreśleniu narodów w ogóle. Wówczas nie było jeszcze proletariackich republik. Kiedy zjawily się one i tylko o tyle, o ile się zjawily, mogliśmy napisać to, cośmy tu napisali: „Federacyjne zjednoczenie państw organizowanych wg typu radzieckiego”. Typ radziecki, to jeszcze nie Rady na wzór istniejących w Rosji, jednak typ radziecki staje się międzynarodowym. Tylko to możemy powiedzieć. Iść dalej, o krok dalej, o włos dalej — byłoby już niesłusznie i dlatego do programu się nie nadaje.

Powiadamy: trzeba się liczyć z tym, na jakim stopniu rozwoju znajduje się dany naród w drodze do średniowiecza do demokracji burżuazyjnej i od demokracji burżuazyjnej do demokracji proletariackiej. To jest bezwzględnie słuszne. Wszyst-

kie narody mają prawo do samookreślenia, o Hotentotach i Buszmenach specjalnie mówić nie warto. Pod tę charakterystykę podpada ogromna większość, na pewno dziesięć dziesiątych, być może 95 proc. ogółu mieszkańców kuli ziemskiej, albowiem wszystkie kraje znajdują się na drodze od średniowiecza do burżuazyjnej demokracji lub od burżuazyjnej demokracji do proletariackiej demokracji. Jest to droga bezwzględnie nieunikniona. Więcej nie można powiedzieć, ponieważ będzie to niesłuszne, ponieważ nie będzie to odpowiadało rzeczywistości. Odrzucenie samookreślenia narodu i zastąpienie go samookreśleniem ludu pracującego byłoby całkowicie niesłuszne, ponieważ takie postawienie sprawy nie uwzględnia, z jakimi trudnościami, jak kręta droga, odbywa się różniczkowanie wewnątrz narodów. W Niemczech odbywa się ono inaczej aniżeli u nas: pod pewnymi względami prędzej, a pod innymi powolniej i bardziej krwawo. U nas ani jedna partia nie wpadła na taki potworny pomysł jak skojerzenie Rad z Konstytucją. Musimy przecież żyć obok tych narodów. Już teraz szajdemanowcy mówią o nas, że chcemy podbić Niemcy. Jest to naturalnie śmieszne i bezsensowne. Ale burżazja ma właściwe interesy i własną prasę, która w setkach milionów egzemplarzy krzyczy o tym na cały świat, a Wilson we własnym interesie popiera tę kampanię. Bolszewicy posiadają ponoć wielką armię i za pomocą wojny chcą zaszczepić swój bolszewizm w Niemczech. Najlepsi ludzie Niemiec — spartakusowcy — opowiadali nam, że robotników niemieckich szczują przeciw komunistom: patrzcie, powiadają, jak u bolszewików jest źle! Żeby znów u nas było tak bardzo dobrze, tego powiedzieć nie możemy. I oto tam wpływają na masy za pomocą argumentowania, że rewolucja proletariacka w Niemczech oznacza takie same nieporządki, jak w Rosji. Nasze nieporządki — to nasza przewlekła choroba. Walczymy z ogromnymi trudnościami, budując u nas dyktaturę proletariatu. Dopóki burżazja albo drobniomieszczaństwo, lub chociażby część niemieckich robotników ulega wpływom tego straszaka: „Bolszewicy chcą przemocą wprowadzić swój ustrój” — dopóty formuła „samookreślenie ludu pracującego” nie polepszy sytuacji. Musimy tak sprawę postawić, żeby niemieccy socjaldziedziny nie mogli mówić, że bolszewicy narzucają swój uniwersalny system, który jakoby można przenieść do Berlina na bagnach czerwonoarmistów. A z punktu widzenia negowania zasady samookreślenia narodów tak właśnie może sprawa wyglądać.

Program nasz nie powinien mówić o samookreśleniu ludu pracującego, albowiem jest to niesłuszne. Powinien on mówić o rzeczywistości. Skoro narody znajdują się na różnych stopniach rozwoju od średniowiecza do burżuazyjnej demokracji i od burżuazyjnej do proletariackiej demokracji, to owo twierdzenie naszego programu jest absolutnie słuszne. Na tej drodze mieliśmy bardzo dużo zrygawków. Każdy naród powinien uzyskać prawo do samookreślenia, to zaś sprzyja samookreśleniu ludu pracującego. W Finlandii proces wyodrębnienia proletariatu od burżazji odbywa się w sposób nadszykający jaskrawy, silny, głęboki. Tam w każdym razie wszystko odbędzie się nie w ten sposób jak u nas. Jeśli powiemy, że nie uznajemy żadnego finlandzkiego narodu a tylko masy pracujące, będzie to najzupełniej czczym aktem. Nie uznawać rzeczywistości nie można: sama ona zmusi, by ją uznano. Rozgraniczanie proletariatu i burżazji dokonywa się w różnych krajach swoistymi drogami. W tej sprawie musimy działać jak najostrożniej. Szczególnie ostrożnym trzeba być w stosunku do różnych narodów, bo nie ma gorszej rzeczy aniżeli nieufność do narodu. U Polaków dokonywa się samookreślenie proletariatu. Oto ostatnie cyfry dotyczące składu Warszawskiej Rady Delegatów Robotniczych: 333 delegatów z ramienia socjaldziedziny, 297 z ramienia komunistów. Wskazuje to, że tam wg naszego rewolucyjnego kalendarza, do Października już niedaleko. Jest to jak gdyby sierpień, jak gdyby wrzesień 1917 roku. Ale po pierwsze, nie wydano jeszcze takiego dekretu, żeby wszystkie kraje miały żyć wg bolszewickiego rewolucyjnego kalendarza, jeśliby zaś został on wydany, to by się go nie trzymało. A po drugie, sprawa przedstawia się obecnie tak, że większość polskich robotników bardziej czołowych, ani-

*) Referat wygłoszony 19 marca 1919 r. na VIII zjeździe RKP(b) — skrót.

zeli nasi bardziej kulturalnych, podziela stanowisko socjal - „oboroncestwa”, socjal-patriotyzmu. Należy przeczekać. Tu nie można mówić o samookreśleniu mas pracujących. Powinniśmy propagować to różniczkowanie. Robimy to, ale nie ulega najmniejszej wątpliwości, że nie można obecnie nie uznawać samookreślenia narodu polskiego. To rzecz jasna. Polski ruch proletariacki kro-

czy tą samą drogą, co i nasz, kroczy ku dyktaturze proletariatu, ale nie tak, jak w Rosji. I tam straszą robotników tym, że Moskale, Wielkorusi, którzy zawsze gnębili Polaków, chcą wnieść do Polski swój wielkorusyjski szowinizm, osłonięty nazwą komunizmu. Nie w drodze przemocy zaszczepia się komunizm. Jeden z najlepszych towarzyszy komunistów polskich, kiedy mu powie-

działem: „Wy zróbcie to inaczej”, odpowiadał mi: „Nie, zrobimy to samo ale zrobimy to lepiej, niż wy”. Takiemu argumentowi nie mogłem absolutnie nic przeciwstawić. Należy pozostawić możliwość spełnienia skromnego pragnienia — stworzenia Władzy Radzieckiej lepiej, niż u nas. Trzeba się liczyć z tym, że tam rozwój odbywa się nieco swojsie i nie można powiedzieć: „Precz z prawem sa-

mookreślenia narodów! Na prawo samookreślenia zgadzamy się tylko dla ludu pracującego”. Samookreślenie to odbywa się w sposób bardzo skomplikowany i trudny. Oprócz Rosji nie istnieje nigdzie, i należy przewidując wszystkie stadia rozwoju w innych krajach nie dekretować z Moskwy. Oto dlaczego propozycja ta jest zasadniczo nie do przyjęcia.

Włodzimierz Lenin

Olbrzymek

WSPOMNIENIA STAREGO ROBOTNIKA*)

„Pamiętnik starego robotnika” — to historia kształtowania się świadomości proletariackiej na przełomie XIX i XX w. Jest to historia robotnika — który przechodząc od pierwotnych, prymitywnych form kapitalizmu do wyższych i bardziej rozwiniętych — dochodzi do zrozumienia jego wewnętrznych konfliktów i sprzeczności, aż osiąga pełną świadomość socjalistyczną. Kto jest jego przewodnikiem? Przede wszystkim sam kapitalizm. Autor pamiętnika przechodzi przez różne jego stadia — od cechowych do wielkofabrycznych, od drobnych rzemieślników i czeladników do fabrycznego proletariatu. Naprzód zobaczy strajk piekarzy, jeszcze prymitywny, nieskoordynowany przejaw walki rzemieślników nie pozbawionych drobno-mieszcząskich złudzeń, później walkę robotników fabrycznych — tych „dodatków do maszyn” — jak ich nazywa — którzy znajdują się już w świadomym konflikcie z kapitalizmem — w końcu partię.

W ciągu tej wędrówki kształtuje się jego świadomość klasowa. Tak jak kształtowała się w tych latach świadomość klasowa w przeważającej większości polskiego proletariatu.

Red.

Urodziłem się 16 sierpnia 1878 r. Ojciec mój, oficjalista rolny, obarczony liczną rodziną, postanowił mnie i młodszego brata mego oddać do terminu. W tym celu przywiózł nas w lipcu 1893 roku do Warszawy. Ale ponieważ majstrowie prawie wszystkich fachów nie przyjmowali chłopców do nauki bez dopłaty pieniężnej, wynoszącej od 100 do 150 rubli jednorazowo, więc mój ojciec nie chcąc, czy nie mogąc wydać takiej sumy, musiał znaleźć majstrów, którzy by chcieli przyjąć nas bez zapłaty.

Po przyjeździe do Warszawy rozpoczęliśmy z ojcem kilkudniową wędrówkę po majstrach różnych fachów. Wstępną i poniżającą była ta wędrówka i targi z majstrami, którzy chcieli choć cośkolwiek dopłaty wydusić i w tym celu ganiili zaofiarowany przez ojca towar. Mówili np.: „panie dobrodzieju, chłopców czuć widać, mają na sobie niemożliwe ubrania, (matka szyła nam je własnoręcznie „na wyróst”), będą mi swoim wyglądem klientów wystraszać, są źle wychowani, stoją do nas tyłem, (rzeczywiście, wykrecaliśmy się obaj tyłem, bośmy płakali jak cielaki w przededniu szlachtuza), musi p. dobrodziez dać przynajmniej na ubranie”. Dziś, kiedy to sobie przypominam, po latach prawie 40-stu, czuję wstyd i ból. Wtedy tylko płakałem.

Taki był mój wstęp do życia. Ja miałem lat 14, brat 12. Ostatecznie brata umieścił ojciec u biednego chałupnika-krawca z warunkiem, że będzie jednocześnie spełniał roboty domowe, a mnie u piekarza, bez żadnych warunków. Obydwoh na lat 4.

Piekarnia, do której się dostałem, była dość duża, pracowało w niej 12 czeladników, 4 chłopców-terminatorów i 6 robotników niewykwalifikowanych — tzn. parobków. Wszyscy dostawali całodienne życie i mieszkanie. Czeladnicy i chłopcy mieli mieszkanie wspólne, składające się z jednego pokoju, o jednym oknie. W pokoju tym mieściło się 7 łóżek, duża szafa na ubranie, stół i jedno krzesło. Łóżka były piętrowe, tj. po 3 i 4 jedno nad drugim i wchodziło się na nie po specjalnej drabince. Urzędowy lekarz sanitarny, który miał nadzór nad piekarnią, do mieszkania naszego ani do piekarni nie zaglądał nigdy, ale za to bardzo szczegółowo badał stajnię i skład mąki i wychodził zawsze w dobrym humorze. Bieliznę pościelową zmieniano bardzo rzadko, zdaje się nie częściej, jak raz czy dwa razy do roku.

Nie wiem, czy pył mączny i zaduch mają to do siebie, że nie sprzyjają rozmnażaniu się robactwa; dość, że nie pamiętam, aby były tam pchły lub wszy. Zresztą ukaszeń robactwa, gdyby nawet było, nikt by nie zauważył, bo każdy z nas spał już, włączając po drabince na barłóg. Czeladnicy spali po 2-3-ch. Chłopcy do 3-4-ch, bo łóżka były dość szerokie. Tak się spało tylko przez zimę. Latem przenosiliśmy się „na letniaki”, tj. na górę nad stajniami i magazynem na siano. To było naprawdę rozkosz. Spał, gdzie i jak kto chciał.

Praca nocna zaczynała się zwykle o godz. 5-tej po południu i trwała do godz. 1-szej w nocy; dzienna od 5-ej rano do 12-1 w południe. Dzień roboczy wynosił więc 15-16 godzin. Życie było dobre i obfite. Czeladnik otrzymywał na dzień: jakas jarzynę, żupę i 1 funt mięsa, chłopiec to samo i pół funta

mięsa. Na śniadanie 2 szklanki kawy białej i na kolację dowolną ilość herbaty.

Praca była bardzo ciężka i żmudna, robiło się wszystko rękami. Ale najcięższą pracą było wyrabianie ciasta. Np. do ciasta żytniego, chlebowego, łało się zwykle 25-28 pięciogarnkowych wiader wody i sypało 8 do 10-ciu pięciopudrowych worków mąki i taką masę wyrabiało na ciasto 3-ch a nawet 2-ch ludzi. Ciasta białego bułkowego było 15-17 wiader i wyrabiało go, jako trzy razy cięższe do wyrobienia, 7-8 ludzi, w małych dozach. Następnie ciężką pracą było noszenie wody i mąki do bajt (koryt), w których się mieszało ciasto, oraz stawianie desek z bułkami czy chlebem „na górę”, (2 równoległe belki umocowane w ścianach na wysokości człowieka), aby tam rosły, noszenie ich do pieca itp. Taka deska z chlebem ważyła od 25 do 32 funtów, z bułkami — 8 do 15 funtów.

Czeladnicy dzielili się na odpowiedzialnych i pomocników. Odpowiedzialnymi byli: werkmajster, tj. piecowy i wajs knefer, tj. odpowiedzialny za jakość białego pieczywa, oraz brotszyber i szwarzknefer, tj. wypiekający i odpowiedzialny za chleb. Najwyższą płacę pobierali werkmajstrzy, 20 do 25 rb. miesięcznie, następnie wajs kneftrzy 18-20 rb.; to samo pobierali: brotszyber i szwarzknefer, a pomocnicy 12 — 14 rb. Robotnicy niefachowi otrzymywali 6-7 rb. miesięcznie. Chłopcy-terminatorzy żadnej zapłaty nie pobierali otrzymując w naturze: ubranie, obuwie, bieliznę i fartuchy. Fartuch taki nosiło się na gołym ciele (bieliznę nakładało się tylko w czasie dużych chłodów). Był on tak szeroki, że się nim owijało, jak spódnicę, a zdejmowało się tylko wtedy, jak się rozdarł i trzeba go było sklejać ciastem, a na reperowanie igłą i niciami nie było czasu, — albo, jak się już podarł zupełnie, tj. raz na kilka tygodni.

* * *

Większość piekarzy, jakich zastałem i poznałem później, umiała czytać i pisać i za składkowe pieniądze prenumerowała „Kurier Warszawski”. Starzy piekarze odznaczali się nawet pewną inteligencją, lubili mówić o polityce i bardzo ich interesowała głośna wówczas sprawa panamska i wojna w Syjamie. Niezupełnie orientowali się, w jakiej części świata leżą Syjam i przesynek Panamski.

Bardzo mi się tu przydała pewna znajomość geografii, jaką wyniosłem z domu. Zapytany objaśniłem gdzie leżą te kraje, przez co uzyskałem szacunek, co jednak nie przeszkodziło mi otrzymywać pewnej porcji bicia i wymyślań. Za to od starych piekarzy usłyszałem po raz pierwszy o rzezi galicyjskiej 46 roku, kiedy „panów” piła rżnięto, o Komunie Paryskiej, kiedy to zapędzano „panów” do roboty i karmiono szczurami, o tym, że w Polsce istniała partia „Proletariat”, coś niecoś o jej działalności, a więc o Rudym Adamie (Kunickim), który, choć sam pański syn i akademik, chciał, żeby była rewolucja, tj. żeby rżnięto panów, (pod mianem „panów” rozumiano nie tylko dzieciów ale i majstrów, przedsiębiorców itp.) o sędzi z Zakroczymskiej ulicy, który sędził sprawiedliwie i zawsze uniewinniał biedaków, o rzezi w Krocach i Żyrardowie. Zdaje się, że żaden z opowiadających o proletariacie, członkiem organizacji nie był, ani nic z jej wydawnictw nie czytał, a każdy dowiedział się gdzieś również z opowiadań czyichś w knajpie na ucho, bo oprócz faktów rzeczywistych opowiadał utwory fantazji, np., że w czasie aresztowania jednego z proletariackich zastrzelili on dwu żandarmów i szpiega, że sędzia z Zakroczymskiej (Baradowski) zaszytował adwokata Zyda (dla czego koniecznie Zyda, który go wyspał itp.

Nie zdawaliśmy sobie zupełnie sprawy, o co ci ludzie walczyli, w imię czego umierali, aleśmy czuli, że chodziło o to, aby lepiej było żyć na świecie takim bitym i kopanym biedakom, jak my i czuliśmy ich jak świętych. Chlubiliśmy się piekarzem-anarchistą, który zabił prezydenta Carnota — przede wszystkim dlatego, że zabił kogoś w rodzaju króla czy cesarza, a po wtóre, że zrobił to piekarz i czyn swój przypisał życiu. W ogóle zaczynaliśmy, choć bardzo powoli, przychodzić do przekonania, że położenie nasze może się zmienić tylko przez walkę. Często przy haniebnych obustalunkach na pieczywo, wymagających dłuższej i cięższej pracy, starzy piekarze, wymyślając naturalnie poza plecami majstra, mawiali: „48 roku trzeba na tych łajdaków, albo Komuny Paryskiej”. Były to niewątpliwie pierwsze przejawy antagonizmu klasowego, wywołane nie tylko przez dziki wyzysk, ale i przez uświadomienie sobie faktu, że nie ma możliwości przejścia z szeregow wyzyskiwanych do szeregow wyzyskujących.

Nie było już wówczas prawie żadnej możliwości zostania majstrem samodzielnym. Na założenie choćby najmniejszej piekarni trzeba było mieć 400-500 rubli, tj. taką sumę, jakiej piekarz nie mógł odłożyć z pracy rąk swoich, nawet stale pracując w przetręgu kilku lat i odmawiając sobie dosłownie wszystkiego. Takie było podłoże uświadomienia klasowego, zdaje się nie tylko u piekarzy, ale u rzemieślników w ogóle. W każdym razie „dobre, stare” patriarchalne stosunki pomiędzy robotnikiem-czeladnikiem a majstrem-przedsiębiorcą należały już do przeszłości.

* * *

Zżyliśmy w okresie ogromnego rozkwitu przemysłowego w Polsce, przede wszystkim w Warszawie. Raptowny napływ ludności wywołany przez ten rozkwit — dokonał przewrotu w piekarstwie. Stare patriarchalne warsztaty, których właściciele - majstrowie cechowi, nie chcieli i nie umieli przystosować się do nowych warunków — nie były w stanie zadowolić stale wzrastającego zapotrzebowania na pieczywo.

Zaczęły powstawać nowe piekarnie, zakładane nie przez majstrów cechowych, lecz przez zwykłych przedsiębiorców, którzy dla kierownictwa fachowego brali majstrów spośród piekarzy. Piekarnie przestały być rzemiosłem, stało się przemysłem. Przedsiębiorcy ci zależnie od posiadanego kapitału zakładali piekarnie o 3-4 piecach na 15-30 robotników, a nawet o 10-15 piecach na 60-80 i więcej robotników z zastosowaniem maszyn do wyrobu ciasta, na razie tylko chlebowego. Maszyn do wyrobu ciasta białego były jeszcze zbyt drogie i w zastosowaniu do mąki rosyjskiej — za słabe. Dla powiększenia zysków majstrowie poszli w dwóch kierunkach: po pierwsze, lepszej organizacji i intensyfikacji pracy (tzn. bardziej intensywnego wysiłku robotnika, bo żadnych prawie ulepszeń technicznych nie wprowadzali i po drugie, zaczęli prowadzić piekarnie bardziej racjonalnie pod względem handlowym, tj. zakupować mąkę, węgiel, drzewo itd. w okresach, kiedy były one najtańsze i w dużych ilościach, a co najważniejsze, zaczęli używać prawie wyłącznie mąki rosyjskiej, tak do wypieku bułek jak i do chleba; mąka ta dawała 55 do 65 proc. przypieku i wytrzymywała dużą fermentację, tj. dawała pieczywu duży wzrost i ładny kolor, a mąka krajowa nie posiadała tych własności i dawała zaledwie przypieku 25-30 proc.

* * *

Jesienią 1895 r. przedsiębiorca nasz, idąc za przykładem swoich kolegów, postanowił zreorganizować swoje przedsiębiorstwo tak pod względem handlowym jak i pod względem większej wydajności pracy. W tym celu wydalili kilku czeladników, ale za to znacznie powiększył obustalunki na pieczywo, wynajmując na miesiąc parę sklepów dla jego sprzedaży. Przerwy w czasie pracy zostały zmniejszone przez nowego majstra (który oprócz pensji otrzymywał jakieś procenty od obrotu), do kilkunastu minut potrzebnych na przyjęcie posiłku, a przerwy 5-6 godzinne między pracą dzienną a nocną do 3-4 godzin w dzień i z 3 godz. na dwie — w nocy. Jednocześnie żona naszego „chlebowadawcy”, z którą się w tym czasie ożenił, wstępną typ staromiejskiej przekupki, wzięta się bardzo energicznie do reorganizacji kuchni. Zaczęliśmy dostawać życie coraz gorsze i w coraz mniejszych ilościach. Mięso zamiast 7 razy tygodniowo, dawano tylko 5 razy (dwa dni tj. w środę i piątek musieliśmy pościć) i w ilości zmniejszonej o połowę i często śmierdzącej.

Czeladnicy protestowali, odsyłali obiady do kantoru przedsiębiorstwa, wymyślali dużo i głośno, tak że nie mogła tych wymyślań nie słyszeć p. pryncypała. I często przywoływali samego przedsiębiorcę, aby się przekonał, że obiad jest niemożliwy do jedzenia. Wtedy miewała miejsce taka scena: pryncypał powachawszy, kazał przywołać żonę, zwracał się do niej, „Marcysiu, to mięso rzeczywiście śmierdzi”, „ależ Florciu, tobie się tylko zdaje; nic podobnego, tylko tym panom (tj. czeladnikom) sprzykrzyło się pracować u nas i dlatego grymaszą”. Florcio robił głupią minę i w sekrecie przed Marcysią posyłał po parę funtów wędliny i butelkę wódki, aby piekarzy nie doprowadzać do ostateczności. Coraz częściej wódka była stosowana przez pryncypała, jako środek łagodzący za targi o złe odżywianie i nadmiar pracy.

Tak było w stosunku do czeladników. A my, terminatorzy, częstośmy się kładli spać bez obiadu, bo jeść go nie było można. Kłóciliśmy się z kucharką, wymyślaliśmy już całkiem po piekarsku i na tym się musieli kończyć.

Byliśmy zupełnie bezbronni. Ponieważ trzeba było mieć siły do pracy, więc zżyliśmy się tym, cośmy mieli w piekarni: z mąki i jajek robiło się kluski, kupując na wspólny koszt stoninę. Cukier przeznaczony do ciasta brało się do herbaty, bo wydawanych 8 kostek na dobę nie starczało. Ale i to trwało niedługo, bo kiedy pryncypała zauważyła, że cukru i jaj wychodzi za dużo, zaczęła do cukru dosypywać soli, a jaja wydawała majstrowi na sztuki.

Po paru miesiącach takiej szarpaniny, my terminatorzy, było nas 5, zdecydowaliśmy się pójść do pryncypała i prosić o polepszenie życia. Pryncypał zdziwił się trochę ale przyjął nas dość grzecznie i obiecał pomówić z panią*). Po tej niebywałej manifestacji życie poprawiło się trochę na pewien czas, ale kiedy nadszedł jakiś post, zaczęto nas znowu głodzić karmiąc śledziami i zupą ze śmietanecznych ryb. Na czeladników przestała już działać majstrowska wódka i często odsyłali ją do kantoru razem z niedojedzonym obiadem. Żyli właściwie za własne pieniądze i za nie upiali się coraz częściej, aby zrobić awanturę i porzucić pracę.

* * *

Wybuch nastąpić musiał i nastąpił w formie mniej więcej zorganizowanego strajku, dzięki temu, że piekarze byli już przeszło od roku w kontakcie z organizacją socjalistyczną (PPS).

Pamiętam ten dzień, jakby to było wczoraj, choć minęło już prawie lat 30.

Wiadomość o rozpoczęciu strajku i odezwę przyniesiono do piekarni akurat po skończeniu pracy. Odezwą odhektografowana na ogromnych arkuszach papieru zaczynała się od słów: „Towarzysze piekarze”.

Widziałem starych piekarzy, którym przy czytaniu tej odezwę żył ciekły po zaplajaczonych twarzach. Więc nie było robocze, nie zwierzęta dwunożne, a „towarzysze”, my, — towarzysze...

Nastroj ten zrozumieć i odczuć mogą tylko ci towarzysze — robotnicy, którzy sami byli mocno bici i kopani i dla których słowo „towarzysz” i „strajk” były nie terminami zwyczajowymi albo technicznymi, lecz stwierdzeniem uroczystym ich przynależności do wielkiej Rodziny Robotniczej. Jeden z piekarzy czytał odezwę na głos: „Towarzysze piekarze, wzywamy Was do strajku, do walki o bardziej ludzkie warunki pracy i bytu”.

Nie jestem w stanie i nie sięgam do tego, aby opisać nastrój, jaki zapanował po odczytaniu tej bardzo krótkiej i bardzo prostej odezwę, ogłaszającej strajk, ale przekonany jestem i twierdząc, że moment ten miał bardzo wielkie, może nawet decydujące znaczenie, abyśmy my, piekarze, poczuli się ludźmi. Ze nastrój taki panował wszędzie, dowodzi fakt, że w przeciągu trzech godzin przyłączyli się do strajku wszystkie piekarnie chrześcijańskie w Warszawie.

O porozumieniu się z piekarniami żydowskimi nie było jeszcze mowy, choć mieli już oni swoją organizację i strajkowali na 3 dni przed nami, tj. 24 lipca. Piekarnie chrześcijańskie pracujące w piekarniach żydowskich strajkowali wcześniej**). Również, choć tylko formalnie, nie brali udziału w strajku terminatorzy, uważali jeszcze przez większość czeladników za pewnego rodzaju inwentarz majstra czy przedsiębiorcy, pozostający pod jego wyłączną opieką aż do wyzwolenia się na czeladnika. W odezwie strajkowej również nie było mowy o chłopcach, mówiono o piekarzach w ogóle, a piekarzem mógł się nazywać tylko czeladnik. Nie byli piekarzami, a więc w strajku udziału brać nie mogli również tzw. parobcy, tj. robotnicy niefachowi, pracujący jako pomoc w piekarni albo rozwożący pieczywo.

Do nich czeladnicy odnosili się ze specjalną pogardą nazywając ich „kafram”****).

*) Od tego czasu nabraliśmy przekonania, że kobieta, aby stać się „panią”, musi kogoś eksploatować. Bo kucharkę mówiło się: Szadkowska, a służącą — Marysiu.

**) Piekarnie Żydów do chrześcijańskich piekarni nie przyjmowano nigdzie w Polsce. W Rosji pracowali.

***)) Jak haniebnie podły był stosunek czeladników do parobków może świadczyć fakt, że nie tylko w wypadkach zatargów pomiędzy przedsiębiorcami i majstrami a parobkami czeladnicy stawiali zawsze po stronie pierwszych, ale i w wypadkach, kiedy majster czy przedsiębiorca chciał za coś ukarać parobka, a nie ufał własnym siłom, wtedy fundował zaufanym czeladnikom parę butelek wódki i sprawa była załatwiona, parobek został „ukarany sumiennie”.

*) Przedruk z „Z pola walki”, nr 4 (skrót).



Ofiara kapitalizmu

(To zdjęcie „Tygodnik Ilustrowany” Nr 2 z 1907 r. opatrzył podpisem „Ofiara strajków”

Zostali oni wciągnięci do strajku i do związku dopiero w roku 1905.

W roku 1897 strajkowali tylko czeladnicy i wystawione żądania dotyczyły tylko ich. Tradycje cechowe były jeszcze tak silne, że nawet organizacja strajkowa, pozostająca pod wpływem partii socjalistycznej nie ważyła się im przeciwstawić. Na trzeci dzień strajku, tj. 29 lipca zostało naznaczone walne zebranie strajkujących na Placu Witkowskiego pod gołym niebem. Ale kiedy policja zabroniła tego, organizacja strajkowa dała hasło, aby się zebrać na polu Mokotowskim (gdzie dziś mieści się lotnisko).

Około południa zebrał się prawie wszyscy strajkujący w ilości około 600 osób. Było to jedno z najoryginalniejszych zebrań, jakie Warszawa kiedykolwiek widziała. Każdy postronny widz przysięgałby, że jest to zebranie dziadów, kalek, oberwańców, czy inwalidów. Nikomu do głowy nie przyszło, że to zebrał się robotnicy „czeladnicy” — wytwarzający swoją pracę pieczywo dla mieszkańców już wtedy 800.000 miasta. Większość zebranych miała na sobie ubrania porwane i zamazane, a duża ilość miała na sobie jak przy pracy niebieskie fartuchy, przypominające kobiece spodnie.

Ponieważ przynajmniej połowę zebranych znałem osobiście*, więc przytoczę dla charakterystyki pseudonimy niektórych. A więc byli tam: Iks, Koślawy Ludwik, Koślawy Mieczek, Wiwat**, Serek, Fura Dziadów, Kapitan obdarłej gwardii, Jurdyk — krzywa morda (podobno w terminie uderzonego go tak silnie w twarz, że wykrzywiła mu się na zawsze), Kurwa — złodziej, Kufore, Stary Albin (ten miał rupturę wielkości głowy cielej), Kon, Mamka, Andrzej bez nogi (stracił ją w powstaniu w 63 roku), Hrabia Pentałka, Krowa, Kobyła, Słupy Stasiek, Pasyjka, Jasnokościsty itp. Przytoczyłem tylko niektóre pseudonimy, charakteryzujące jakąś specjalną cechę ich posiadaczy.

Kiedy cała ta falanga znalazła się na polu Mokotowskim, to ustawiła się w ten sposób, że na front, w stronę miasta wysunęli koślawych, najbardziej oberwanych i ubranych tylko w fartuchy. Zdało się — mówił coś Rudy Adam, czy Janeczek Koperski.

Nadjechał powozem ówczesny oberpolicmajster warszawski, gen. Klejgiels, w asyście kilkuset kozaków.

Wkrótce nadeszła grupa policjantów, złożona z kilkudziesięciu osób i stanęła koło zebranych piekarzy nie zaczepiając nikogo.

*) Przez 4 lata co najmniej 300 piekarzy pracowało w piekarni, w której terminowałem.

**) Koślawy Ludwik, Iks, Wiwat i Serek mieli tak silnie wykoślawione nogi od kolan na zewnątrz, że kolanami prawie dotykali ziemi, wyglądali karykaturalnie i stąd pseudonimy. Np. Wiwat, nie nachylając się dostawał rękami do ziemi, nogi wykrzywione, choć nie w takim stopniu, miała większość i to już nie zwracało uwagi.

Klejgiels nie wysiadając z powozu zwrócił się do zebranych z zapytaniem, po co się zebrałi. Nie otrzymawszy określonej odpowiedzi, bo wielu chciało mówić, kazał wybrać paru*), aby mu objaśnili, jakie są żądania strajkujących. Wtedy wysunęto jako delegatów: Serka, Zółwia, Iksa i Kapitana obdarłej gwardii, tj. kaleki i obdartusów. Kiedy ci delegaci zbliżyli się do niego, jego „jasno oświeconosc” raczył się wyrazić: „tfu, czto za czortowa kilimora” i zaczął słuchać delegacji, która mu opowiadała, jak ciężka jest dola piekarzy, że od nadmiernej pracy mają powyrzwywane nogi, a tak mało zarabiają, że nie mają za co sprawić sobie ubrania. Nie dosłuchawszy płaczliwego opowiadania Zółwia czy Serka, Klejgiels półgłosem wydał jakieś rozporządzenie i odjechał.

Po jego odejściu policja okrzykami zebrałych i podzieliwszy na kilka grup poprowadziła do miasta, do cyrkułu dla sprawdzenia tożsamości osób i miejsca zamieszkania.

Podobno istniał zamiar wysłania etapem wszystkich niezamieszkałych w Warszawie, ale kiedy sprawdzono w cyrkułach, że z przeszło 500 aresztowanych zaledwie trzecia część jest zameldowanych, a więc zamieszkałych w Warszawie — zamiaru tego zaniechano. Mówiono, że Klejgiels wydał kategorycznie rozporządzenie cechowi piekarskiemu, żeby strajk został zakończony w przeciągu 24 godzin, wobec spodziewanego za kilka dni przyjazdu Mikołaja do Warszawy. Dość, że 30 lipca, tj. na drugi dzień po manifestacji na polu Mokotowskim z rana wszyscy majstrowie i przedsiębiorcy zakomunikowali swoim piekarzom, że zgadzają się na wszystkie wystawione żądania. Strajk został zakończony i nocna zmiana z 30 na 31 lipca przystąpiła do pracy. Wszyscy aresztowani z pola Mokotowskiego zostali po kilku czy też po kilkunastu godzinach zwolnieni. Z 11 zdaje się aresztowanych na skutek denuncjacji majstrów i przedsiębiorców, zwolniono 10. Zatrzymano w więzieniu tylko Jana Koperskiego, który siedział za ten strajk 10 miesięcy w 10 pawilonie jako, zdaniem policji, główny jego kierownik.

Strajk ten miał dla piekarzy ogromne znaczenie. Przede wszystkim został ustalony dzień roboczy. Była to zdobycz pierwszorzędną wagi, jeżeli wziąć pod uwagę, że przedtem samo pojęcie „dzień roboczy” było w piekarstwie zupełnie nieznane wobec technicznej koniecznej ciągłości pracy (stawianie rozczynów i kwasów na 6—8 godz. przed robieniem z nich ciasta). Nawet samym robotnikom wydawało się czymś niemożliwym, aby procesy wytwarzania pieczywa można było rozzerwać na dwie połowy, tj. aby jedna zmiana stawiała rozczyn, a następna robiła z niego ciasto i z ciasta robiła pieczywo; potrzeba było paru miesięcy, aby się do tego przyzwyczaili, że praca jest dla nich, a nie oni dla pracy. Niemniej ważną zdobyczą było zniesienie życia i mieszkania w piekarniach, które z robotnika robiły faktycznego niewolnika przedsiębiorcy na czas nieokreślony. Najmniejsze znaczenie miała podwyżka płac, wahająca się, o ile sobie przypominam, od 5 do 10 rb. miesięcznie. Wartość otrzymywanego poprzednio życia na razie do zarobków nie doliczano, a płacono oddzielnie wg nieustalonej normy od 35 do 60 kopiejek dziennie, tak że przeciętny zarobek piekarza wynosił tyg. od 7 do 11 rb.

*) W ten sposób chciał się dowiedzieć, kto to są kierownicy strajku, aby ich schwytać.



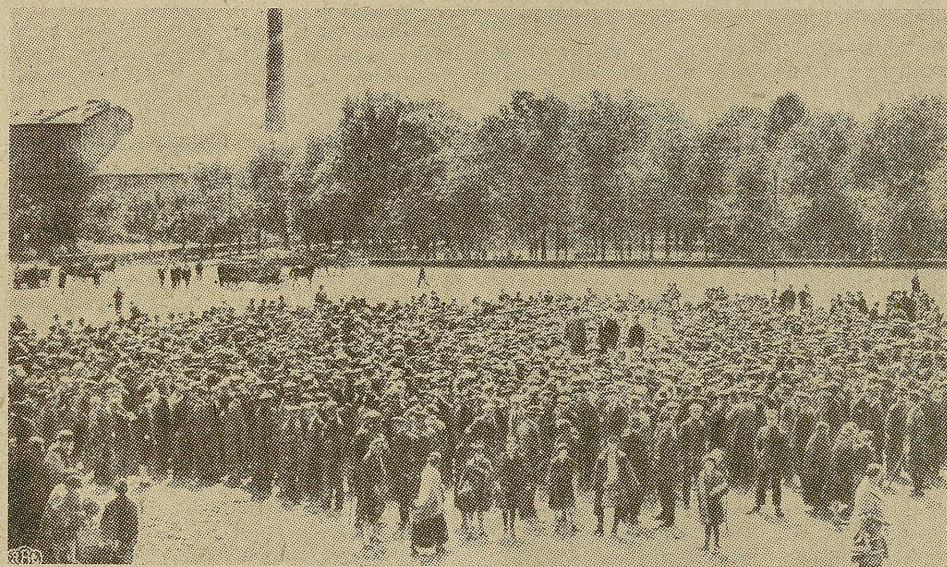
Do pracy



„Fajerant”

Czy po strajku piekarze zaczęli się lepiej odżywiać, bardziej po ludzku mieszkając, ubierać się i używać ludzkich rozrywek? Stanowczo tak. Choć dzień roboczy nawet dla mocnego organizmu był bardzo wyczerpujący, to jednak ze względów czysto technicznych mógł być ściśle stosowany tylko w piekarniach dużych, jakich było zaledwie parę i tzw. parowcach, wypiekających sam chleb. W większości piekarni praca trwała niewiele ponad 10 godz. a czasami mniej nawet, więc czasu było dostatecznie, żeby się wypaść, a nawet pozostawiało parę godzin, z którymi trzeba było coś zrobić.

Po odejściu z terminu zamieszkałem na Pradze u rodziców przyjaciela mego towarzysza, Kazimierza Cajlera. Ojciec jego był inwalidą tureckiej wojny z roku 1878 i pracował jako magazynier bielizny kąpielowej w łaźni, a matka w tejże łaźni pracowała jako pracznica. Oprócz mego przyjaciela mieli jeszcze



Wiec robotniczy

czworo nieletnich dzieci. Mieszkanie składało się z jednego, o jednym oknie, pokoju.

Gospodarze moi codziennie wczesnym rankiem szli oboje do pracy, a wracali dopiero o godz. 7—8 wieczorem, w domu jeść gotowali tylko w niedzielę i święta. Na dzień dwoje młodszych dzieci odprowadzano do ochronki, a starsze spędzały czas w pobliskim parku. Jedni i drudzy karmili się chlebem i wędliną, jaką im zostawiali na cały dzień rodzice. Ponieważ mieszkanie było ciasne, więc miałem łóżko wspólne z najstarszym chłopcem. Płaciłem za mieszkanie 2 rb. miesięcznie.

Zabezpieczwszy się z mieszkaniem zapisałem się do czytelnicy Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności, aby mieć książki, których byłem tak bardzo spragniony.

Nie wiedziałem, co czytać pierwiej i jak czytać. Kiedy zapytałem o to studenta, wydającego książki, dał mi on historię Polski, a później sam już sobie wziąłem historię cywilizacji Seignobosa i Buckla. Historię powszechną przeczytałem dopiero w X Pawilonie. Z historii Polski dowiedziałem się i zrozumiałem tylko tyle, że byli tacy to i tacy królowie i panowie, którzy przez 800 lat darli

się między sobą o to, kto ma rządzić i korzystać z rządzenia Polską, ale czym był naprawdę ten majątek i na czyj koszt odbywała się ta 800-letnia zabawa, nie dowiedziałem się nic. Chłop — robotnik, który pracą swoją utrzymywał to wszystko, był tylko „tłem tego pięknego obrazu”, jak mówi polski pisarz Gomolicki. Ale jak to się stało, że ten chłop — robotnik, ten „smerd” dobrowolnie godził się być tylko bydlęciem roboczym, na to pytanie znalazłem odpowiedź znacznie później.

O buntach chłopskich w Polsce dowiedziałem się z powieści Kraszewskiego. Z historii cywilizacji dowiedziałem się, że to, co jest obecnie, to jest ten ustrój społeczny, nie istniał zawsze, bo się wszystko na świecie zmienia i udoskonala, „ulega powolnej lecz systematycznej ewolucji”, którą Seignobos specjalnie podkreśla. Od Buckla dowiedziałem się, że w całej historii ludzkiej istnieje prawo przyczyn i skutków, że Wielka Rewolucja Francuska była skutkiem strasznego ucisku i wyzysku króla i panów francuskich w stosunku do chłopów i robotników-rzemieślni-

ków. Buckle dał mi najwięcej, nauczył mnie myśleć.

Pomocy w nauce nie miałem od nikogo, a kiedy zwróciłem się do znajomego inteligenta o pomoc, wysmiał mnie. „Po co piekarzowi nauka, powinien dążyć do tego, aby mieć własną piekarnię, a do tego nauka, np. znajomość historii, jest niepotrzebna. Polska ma aż za dużo inteligentów i uczonych, ale brak jej dobrych rzemieślników”.

Więcej się o taką pomoc nie zwracałem nigdy do nikogo z inteligentów, za wyjątkiem tow. Trusiewicza. Musiałem dawać sobie radę sam, o ile mi nie mógł czegoś objaśnić nikt z tow. robotników. Czytałem regularnie „Robotnika”, z którego dowiadywałem się o warunkach pracy w fabrykach i warsztatach i coś niecoś o sprawach politycznych, czego po większej części nie rozumiałem. Najwięcej dały mi broszury. W. Liebknecht: „W obronie prawdy” i „Wiedza to potęga”. Dały mi one dużo materiału do myślenia, ale i uzasadniły naukowo to, czego nauczyło mnie życie, tj., że my robotnicy pracujemy na majstrów i przedsiębiorców, a nie oni na nas, i że następstwem tego jest i być musi antagonizm klasowy, wywołany przeciwieństwem interesów, przejawiający się codziennie na każdym kroku. Najbardziej „naukowa” książka nie była w stanie przekonać mnie, że jest to „wymysł” socjalistów i że w rzeczywistości istnieje zupełna zgodność interesów. Miałem pewne wątpliwości, jak się powinni zachować robotnicy np. wobec otwierania nowych fabryk i powstawania nowych gałęzi przemysłu. Dąży do tego we własnym interesie kapitaliści, ale jest to dobre i dla robotników, bo daje im pracę, tj. możliwość zarobków i nie zmniejszając wyzysku stwarza jednak pewną wspólność interesów. Drugą wątpliwością była kwestia, czy my robotnicy stawiając swoje żądania w walce z kapitalistami powinniśmy się liczyć, aby ich wysokością nie zabić danego przedsiębiorstwa czy gałęzi przemysłu? Takich wątpliwości większych i mniejszych miałem dużo, jak i najbliżsi towarzysze, z którymi się stykałem.

Czy mieliśmy już jakiś określony światopogląd? Tak i nie. Tak, o ile chodziło o nasz stosunek do społeczeństwa burżuazyjnego i państwa. Uważaliśmy, że istnieją tylko dwie sytuacje. Pierwsza, że się kogoś wozni na swoim karku i druga, że się jest wozonym. Należeliśmy do pierwszej, stosunek był ja-



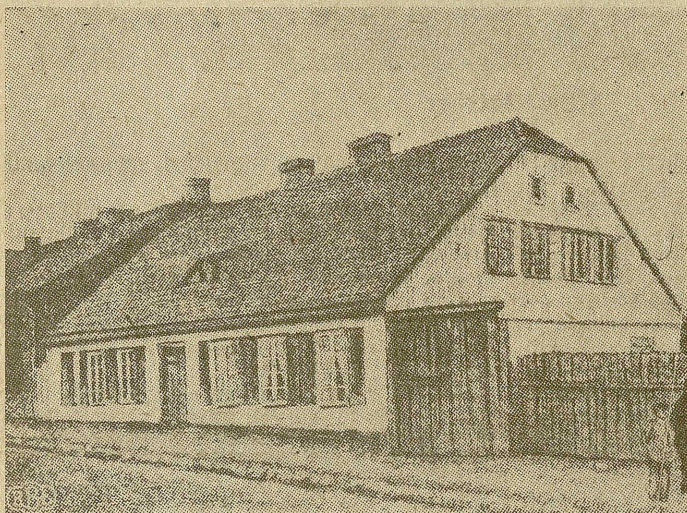
Po wypłacie

sny, nienawidziliśmy społeczeństwa i państwa. — Nie, o ile chodziło o nasz stosunek do religii, wiary (choć osobiście przestaliśmy już wierzyć i gardziliśmy świętymi („bykami”), do burżuazyjnej nauki, do inteligencji.

Ówczesne „społeczeństwo” polskie było rzeczywiście bardzo syte i wysoce zadowolone „z dobrych czasów” i samo z siebie i miało po temu poważne powody, bo program tzw. „pracy organicznej” został już prawie urzędywistniony.

Wspaniały rozwój przemysłu, szczególnie włókienniczego i metalowego doszedł w tym czasie, jak pisały gazety, do zenitu, dzięki wywozowi do Rosji i (jak się o tym dowiedziałem później) dzięki cłom ochronnym, zabezpieczającym od zagranicznej konkurencji*). Poza tym w Warszawie, a pewnie i w innych miastach powstały dziesiątki i setki fabryk, fabryczek i warsztatów, które wyrabiały i wysyłały do Rosji setki tysięcy i miliony par obuwia, ubrań, rękawiczek, kwiatów sztucznych itp. Pracowało przy tym w samej choćby Warszawie 20 tys. szewców (według Prusa).

Był to naprawdę świetny, niebywały okres rozwoju przemysłu i handlu w Polsce. Gazety zachłystywały się z radości, że w „naszym kraju” (słowa „ojczyzna” bały się nawet pomyśleć, aby nie dostać za to w pysk od najbliższego policjanta) kwitnie dobrobyt**). Czasem tylko i to bardzo ostrożnie mrugnęły coś, że niestety ten dobrobyt i łaski „najjaśniejszego” w małym tylko stopniu dotyczą ziemianstwa i inteligencji. I rzeczywiście, jak to można było sądzić z „Kronik” Prusa, ziemianie, tj. szlachta, bankrutowali, a masa inteligentka (nauczyciele, literaci, artyści) cierpiała prawdziwą nędzę i przychodziła do przekonania, że jest jej za wiele. „Najjaśniejszy pan” nie pozwalał ich przyjmować do urzędów carskich a najjaśniejszy kapitał nie potrzebował ich tylu, ilu ich było do wzięcia.



Domek fabrykanta w 1835

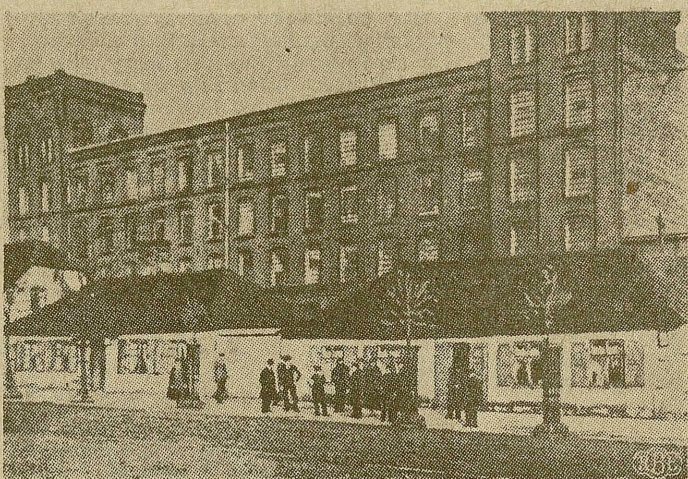
Inaczej było z robotnikami, ci mieli do sprzedania tylko swoją siłę roboczą, a nie sumienie i cześć. A na tę siłę był duży popyt i nie przypuszczam, aby w tym czasie Warszawa liczyła ponad paruset bezrobotnych, bo gazety ciągle pisały o braku robotników.

Tym boleśniej musiałem odczuwać swoje przymusowe próżniactwo, widząc dookoła ludzi zajętych pracą i względnie sytych. Do cięższej pracy fizycznej, nie wymagającej żadnych kwalifikacji, np. przy robotach kanalizacyjnych czy ziemnych przyjąć mnie nie chcieli, bo byłem mały i szczupły. Chodziłem po różnych fabrykach i warsztatach, jakie się ogłaszały w gazetach, że potrzebują robotników i chłopców.

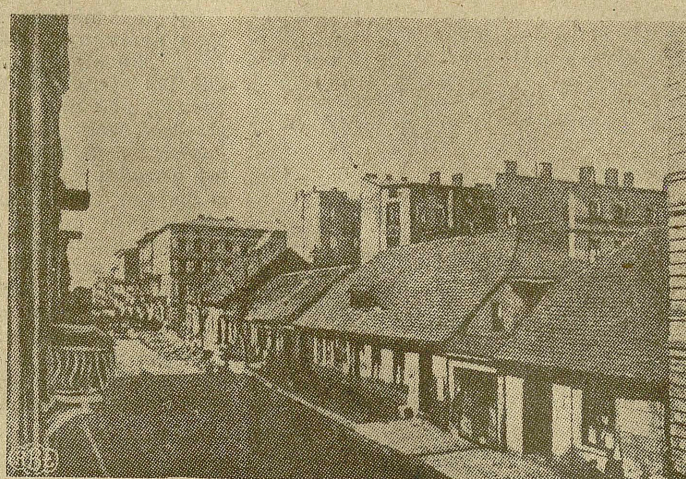
W ten sposób pracowałem kolejno w kilku drukarniach, w litografii, szlifierni szkła i fabryce szuwaku. Nie pamiętam już dzisiaj, z jakich powodów wydalano mnie, dość, że pracowałem w tych zakładach zaledwie po parę dni. W szlifierni szkła pracowałem najdłużej i stosunek majstra-przedsiębiorcy był do mnie bardzo dobry. Zarabiałem 30 kop. dziennie i obiecywał nauczyć mnie swojego fachu, ale zostałem wydany z powodu nieporozumienia o napiwek. Kiedy odniósłszy szkło do mikroskopu jakiemuś profesorowi, powróciłem i na zapytanie majstra, ile dostałem za odniesienie, odpowiedziałem, że nic, kazał mi się wynosić precz mówiąc, że kłamcy trzymać nie chce. Majster ten był nawet dobrym człowiekiem, ale tak bardzo głupim, że nie mógł mnie zrozumieć. Pracując w charakterze chłopca nie byłem już nim, choćby tylko z wieku (miałem już rok 20) i mając już bardzo rozwinięte poczucie godności własnej, jeżeliby mógł nie odmówił (załatwiałoby od formy w jakiej by tę zapłatę dawano) przyjęcia zapłaty za drogę, właściwie za odniesienie roboty (czego czasem żądali klienci, mówiąc, że za odniesienie zapłacą) to nie

*) Pamiętam, że „Kurier Warszawski” (gdzie jakiś czas pracowałem) sprowadzał z zagranicy maszynę rotacyjną kawałkami przez kilka miesięcy, aby uniknąć bardzo wysokich opłat celnych.

**) Widomym dla wszystkich znakiem tego dobrobytu była nie tylko budowa ogromnych gmachów Politechniki i masy domów mieszkalnych, ale i budowa jednocześnie aż 3 kościołów (na Nowolipkach, na Pradze, i na Marszałkowskiej) i wybudowanie 4 specjalnie luksusowo urządzonej domów publicznych przy ul. Towarowej. Był to jeden ze „słodkich owoców” pracy organicznej.



Domy fabryczne i robotnicze



czekałbym na łaskawy „napiwek”, a tymczasem nie upominałbym się o niego.

Dzięki znajomości, jakie zawarłem z młodymi robotnikami w czytelni, udało mi się przy ich pomocy uzyskać pracę w fabryce taśm gumowych na Kamionku.

Fabryka ta wówczas zatrudniała około 300 robotników, prawie wyłącznie młodzież obojga płci. Wśród starszych wiekiem robotników było 4—5 majstrów, kilkunastu szpinerów, szwaczy i szwaczek, którzy szyli szelki, pasy gumowe, podwiązki itp. Szpinerzy stawiali i oglądali maszyny tkające i plotące taśmy najróżnorodniejszych gatunków i rozmiarów. Ja zostałem „szpulownikiem”, tj. nawijaczem (nawijałem przy pomocy maszyny

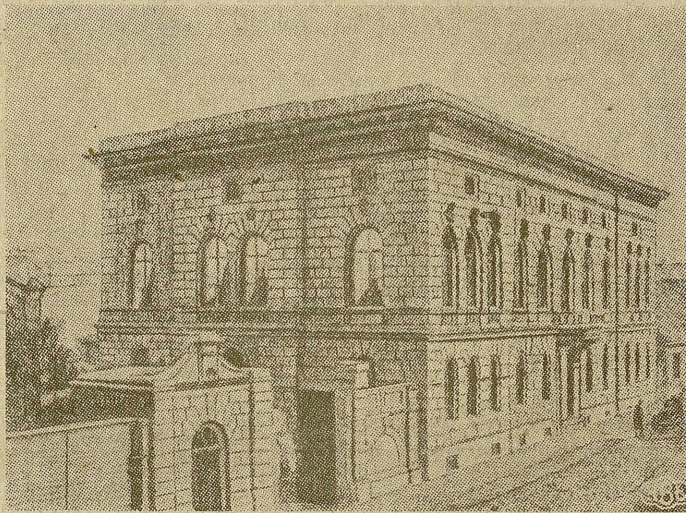
1 rb. 15 kop. do jednego rubla 30 kop. dziennie. Praca trwała od 7 rano do 8 wiecz. z półgodzinną przerwą na śniadanie i 1 i pół godz. przerwą na obiad.

Po kilkutygodniowej pracy wstąpiłem do miejscowej organizacji fabrycznej*), składającej się przeważnie z młodych chłopców, z którymi poznałem się w czytelni. Paru z nich było już członkami partii PPS, więc porozumiałem się z nimi za pomocą kwitów z bloczku za opłacone składki i zaczęliśmy wspólnie przemysłować nad urządzeniem strajku dla wywalczenia przynajmniej podwyżki płacy, a o ile by się dało, skrócenia dnia roboczego choćby o 1 godzinę.

Najważniejszą rzeczą była podwyżka płacy, bo dla większości tej młodzieży praca w fabryce w ogóle była zajęciem stałym, a zarobek jedynym środkiem utrzymania własnego,

baty, co razem kosztowało 25—28 kop. dziennie, czyli przeciętnie dwie trzecie dziennego zarobku. Mający na utrzymaniu rodziny żyli prawie samym chlebem i herbatą. Sprawa podwyższenia płacy była dla wszystkich zrozumiałą koniecznością, więc na powodzenie strajku były wszelkie dane. Tym bardziej, że robotnicy wykwalifikowani, otrzymujący poza płacą dzienną specjalne premie od ilości wyrobionych metrów, a więc bardziej „rozwazni”, stanowili zaledwie dziesiątą część ogółu robotników i gdyby nawet chcieli, nie byli nawet w stanie przeciwdziałać strajkowi, bo pracować sami, albo choćby utrzymać fabrykę w ruchu, nie mogli. Poza tym, jak się dowiedzieliśmy przez znajomego w kantorze, fabryka miała dużo obstalunków, a zapasu towaru nie było.

Czy mieliśmy jaką pomoc z organizacji PPS, nie pamiętam, zdaje się, że odbili nam odezwę na hektografie.



„Domek” fabrykanta w 20 lat później

jedwabną przędzę z motków na szpulki do maszyn).

Otrzymywałem za to z początku 35 a później 40 kop., a po miesiącu pracy 45 kop. dziennie. Niewiele wyższą płacę otrzymywała większość robotników, bo rzadko kto pracował dłużej jak kilka miesięcy, traktując pracę w tej fabryce, jako zajęcie czasowe, bo nie dające możliwości wykwalifikowania się. Tylko kilkunastu robotników pracujących po roku i dłużej zarabiała 60—80 kop. dziennie. Wykwalifikowani robotnicy szpinerzy (mogli być szpinerami, zdaje się, tylko ślusarze, bo musieli reperować maszyny) zarabiali

a często całkowitego utrzymania rodziny. Za drobnymi wyjątkami byli oni dziećmi warszawskich i okolicznych robotników. Bez względu na wiek z nas żyła tzw. „suchym”, tj. wędliną z chlebem i herbatą, gotowaną strawę jadając tylko w niedziele i święta. Taki „suchy” obiad, śniadanie, czy kolacja składały się zwykle z pół funta chleba, ćwierć funta jakiejś wędliny i bańki her-

*) Nie była to organizacja w dzisiejszym znaczeniu tego słowa, po prostu grupa młodych robotników, którzy się czasami zbierali i czytali wydawnictwa socjalistyczne.

Tadeusz Różewicz NIE KŁADŹ MI RĄK NA SERCU

I

Nie kładź mi rąk na głowie
nie kładź mi rąk na ustach
na oczach i na sercu
nie kładź mi rąk na sercu

W Gromadzie Ciężnieniec
zatłukli na śmierć kijami
Leona Maciejewskiego
komunistę

II

Walili go po głowie
walili go po ustach
po oczach i po sercu

zła krew mówili

potem ręce umyli
plamy z ubrań wytarł
i myśleli że krew zmyli
że tak łatwo zmywa się krew

III

Nie kładź mi rąk na głowie
nie kładź mi rąk na ustach
na oczach i na sercu
Nie kładź mi rąk na sercu.

KARNAWAŁ 1949 MASKARADA

Leopoldowi Staffowi

Ze szpilą światła w głowie tańczy
tłum serpentyną powiązany
błyskają lśniąca ostrza śmiechu
i otwierają rany

Patrzcie jak skaczą
a na twarzach
maski z ustami szerokimi
pilnują mnie
i mego cienia
oczami rozwartymi

Albo przyszyją słówkiem skośnym
serce jak worek
złe związany
tam na dnie słońce się ukryło
między złotymi papugami

I rany są
tych nie ujrzycie
prostym to ludziom zwierzyć mogę
że serce boli tak jak życie
i półzwierzęciem jest półbogiem

Ze szpilą światła w głowie tańczy
tłum serpentyną powiązany
i fruna lśniąca płatki śmiechu
i zasypują rany.

Strajk zaczął się jakoś w pierwszych dniach grudnia, trwał zdaje się przeszło tydzień i został przez nas wygrany. Uzyskałmy podwyżkę płacy mniej więcej o 25%, tak że najniższy zarobek miał wynosić po strajku 40 kop. dziennie i uzyskaliśmy przedłużenie przerwy obiadowej o pół godziny, czyli skrócenie dnia roboczego z 11 godzin na 10 i pół. Robotnicy wykwalifikowani otrzymali również „dobrowolne” podwyżki płacy, bo zgodnie z ich życzeniem w ich imieniu żadnych żądań nie wystawialiśmy.

W pertraktacjach strajkowych brał udział, jako urzędowy „obrońca” robotników, inspektor fabryczny, który choć często pijany, zachowywał się dość przyzwoicie. Policja pilnowała fabryki nie wtrącając się do strajku i nie aresztowała nikogo. Na skutek tego strajku dyrekcja fabryki wydała bez dwutygodniowego wypowiedzenia kilku robotników, w tej liczbie i mnie, uważając, że umowa najmu została przez nas złamaną i na skutek tego nie mamy prawa do odszkodowania za te dwa tygodnie. Udał się do skargi do inspektora, ale ten powiedział, że on nic nam poradzić nie może i radził oddać sprawę do sądu, czyli zbyć nas niczym.

Za poradą starych robotników, którzy mieszały już różne zatargi i wiedzieli do kogo się udać, poszliśmy do starszego inspektora. Był nim inżynier Iwanow, bardzo rzadki typ rosyjskiego urzędnika, rozumny i dobry, znany i lubiany przez robotników, którzy się do niego zwracali o pomoc*). Kiedyśmy przyszedli do jego kancelarii, przyjął nas sam Iwanow, starszy już człowiek z siwą brodą o dobrej i rozumnej twarzy.

Wysłuchał uważnie naszej skargi, obiecał dopomóc, abyśmy otrzymali, co nam się słuszenie należy i kazał przyjąć za parę dni. Przyszliśmy w oznaczony dzień, zastaliśmy urzędnika z fabryki, który wypłacił nam dwutygodniowy zarobek.

Praca w tej fabryce i udział w strajku nauczyły mnie bardzo wiele. Przede wszystkim przekonałem się, że wśród robotników fabrycznych nie ma przesadów kastowości cechowej, nie ma „panów czeladników” nie ma chłopców, których „uczy się, bijąc”, ani „kafrów”, którzy w ogóle nie stali niżej, dalej, że robotnicy fabryczni nawet wykwalifikowani, nie mówią o niewykwalifikowanych, wolni są zupełnie od marzeń o zostaniu samodzielnymi przedsiębiorcami, marzeń, których nawet — towarzysze-rzemieślnicy nie wyzbyli się w zupełności do dziś dnia. W fabryce istnieli tylko robotnicy więcej lub mniej wykwalifikowani i lepiej lub gorzej zarabiający, ale zawsze będący, nawet w swoim przekonaniu, tylko żywym dodatkiem do maszyny — kapitału, bez której tracili swoje kwalifikacje i dlatego nie mogli mieć podstaw do marzeń o „samodzielnosci”. Pod względem świadomości klasowej robotnicy fabryczni w masie swojej nie stali niżej od piekarzy, a pod względem zainteresowania życiem poza fabryką, np. zainteresowania książkami — młodzież robotnicza, z jaką się zetknąłem w tej fabryce — stała niewątpliwie wyżej od młodzieży piekarskiej. Byłem razem z nimi na odsłonięciu pomnika Mickiewicza i później długo jeszcze podrzynałmyśmy stosunki i dostarczałem im już naszej esdeckiej literatury.

Olbrzymek

*) Było wówczas w Warszawie dwóch urzędników rosyjskich lubiających, a nawet szanowanych przez robotników, to sędzia pokoju Sawinkow (ojciec znanego zdrajcy i kontrewolucjonisty) i starszy inspektor fabryczny Iwanow.

OMATYCE

w pałacach błyszczał blichtr dawnej świetności. Rody patrycjuszowskie zapatrzone były w kamienice Braniczkich, Potockich, Lubomirskich, a ci w swoją tarczę herbową i w daleki Burg, gdzie z Bożej łaski cesarz Austrii, Franciszek Józef I, miłościwie panował. W starym Krakowie nie było jeszcze „semperitu”, a strzały słychać było tylko na strzelniczy bractwa kurkowego. W starym Krakowie nic się nie działo, a jeśli zrodziła się jakaś myśl wolna, to na pewno już poza murami, gdzieś na przedmieściu. W stancjach zajętych przez niesfornych akademików lub innych, zapaleńców burzyło się wprawdzie, lecz z nimi nikt się nie liczył. Oni Krakowem nie byli. Istniał tylko jeden Kraków, a w nim Potocy, Tarnowscy, Lubomirscy i inni magnaci. Ten Kraków w uroczyste dni z lamusów wyciągał kontusze, karabele, guzy pozłociste, a ten, który do kontusza nie miał prawa, przywdziewał sznurami zdobione czamary. To już dawało pozory wolności, a strój szlachecki pobudzał poczucie równości wśród równych.

W takiej atmosferze powstawały wielkie dzieła malarstwa Matejki — Grunwald, Hołd Pruski, Batory, Rejtan. Prócz nich tysiące szkiców i notatek rysunkowych, zapisów gromadzonych z niespotykaną pasją. Pracowitość niesłychana, mrówcza zbierania najrozmaitszych ułomków, by z nich potem składać wielkie dzieła. Całe życie poszukiwań w zakamarkach ruin krakowskich, całe życie ciągłego grzebania w tym, co wieki dawne pyłem zasypały. I praca z dokumentem w rękę. Życie spędzone w wysiłku, w którym zagubiło się zupełnie własne „Ja” artysty, w pracy, w której granica między dziełem sztuki a dokumentem archiwalnym zatarła się niemal całkowicie, w której wreszcie artysta zapomniał o drgnięciach własnego serca, które inaczej by może uderzało, gdyby je mroki przeszłości nie otoczyły. Życie koło niego powstawało, a on tego nawet nie zauważał. Cóż było tego przyczyną?

Na jednym jedynym kilometrze kwadratowym starego Krakowa za dużo znalazło się Eminencji, Eksceleńcji, Magnificencji, Jasnie Oświeconych, Gław, Szambelanów i Radców Dworu. W oficjalnym Krakowie mogła panować wszechwładnie tylko oficjalna opinia. Z wysokości katedr padały słowa łaskawego uznania, zachęty, lub potępienia. Z tym trzeba się było liczyć, tego nie było wolno lekceważyć nie narażając się na kłatwę. I Matejko gorzkie chwile przeżył, gdy nieopatrznie naruszył „świętość narodu” przed oczyma społeczeństwa rzucając postacie Ponińskich, Braniczkich i Potockich w „Rejtanie”. Oni to Kraków, Kraków to Polska, a służba dla miasta — to służba Polsce.

Zapatrzony w przeszłość, chciał na niej przyszłość budować, jak gdyby można było w formę przeżytych wlać nowe życie, w formę, z której nic nie pozostało prócz resztek złota, głowia i aksamitów, oblekających tylko próchno.

Twórczość Matejki oparta na historyzmie romantycznym z wprowadzeniem pewnych metod historyzmu krytycznego nie wskazywała żadnych dróg, dawała złudzenie życia narodu, „krzepiała serca” i „wzmocniała ducha”. Bo nie mogły matejkowskie notatki historyczne działać pozytywnie, dynamicznie.

Nie można przeceniać wpływu społeczno-narodowego twórczości Matejki, jeśli on w XIX wieku oddziaływał wtórnie na nieliczną garstkę ludzi, uczuciowo, fizycznie lub pochodzeniem związanych ze sobą, podczas gdy cała masa społeczeństwa negatywnie doń się ustosunkowała. Tym bardziej w XX wieku idea szukania wzorów w dalekiej przeszłości nie mogła mieć już żadnego wpływu na kształtowanie się społeczeństw polityczne i społeczne. Tragizmem artysty było to, że podjął idee wskreszenia przeszłości nie rozumiejąc życia, a krzywdą wyrządzoną artyście przez nieliczną garstkę ludzi chcących mieć swego proroka było narzucenie mu właśnie tej roli.

Niezrozumieniem również jest nawiązywanie idei politycznej Polski sanacyjnej do twórczości Matejki i wpływu jej na tę politykę. Czynniki, które kształtowały oblicze polityczne kraju nie miały nic wspólnego z wpływami matejkowskimi, jako z dawną przebrzmiałymi i do tego wtórnymi procesami. Szukać ich raczej należy w położeniu geopolitycznym, socjalnym i ekonomicznym ówczesnej Polski, w słabości wewnętrznej a nawet w szukaniu ratunku nie wewnątrz, lecz zewnątrz, przez zbudowanie szerszych podstaw geofizycznych, jak gdyby za tym automatycznie musiało nastąpić wzmocnienie państwowego organizmu. Na kierunek tej polityki już Matejko najmniejszego wpływu nie miał. O ekspansji (gdyby tak można nazwać wyprawę kijowską) decydowały zupełnie inne czynniki, nawet nie próby odegrania rycerskich ról na Dzikich Polach. Być może, że uczuciowe podejście do tego parcia na wschód odegrało pewną rolę, lecz przede wszystkim czynnikiem decydującym o kierunku wschodnim planów ekspansyjnych było przełożenie interesów poszczególnych jednostek ponad interes całego społeczeństwa i to jednostek niezainteresowanych na zachodzie. I to przeważało, i to zdecydowało o kierunku, a nigdy nie wpływ społeczno-narodowy twórczości Matejki.

Zanotował J. M. Gisges

Piotr Chmura i Władysław Strzemiński

ODPOWIADAMY

1. ZACZNIJMY OD FORMY

Możemy sobie wyobrazić posiedzenie klubu miłośników sztuki w wojewódzkim mieście na prowincji. Są malarze, graficy, muzyk, literat, historyk sztuki i kibicująca publiczność z „wykształceniem”. Możemy sobie wyobrazić i zapal dyktantów i erudycję podręcznikową i gębokie „przekonanie i wiarę” w objawiane poglądy, ale aby zadomowić się w klimacie takiej dyskusji na prowincji, trzeba zacząć od tego, co się nazywa sadzeniem na oryginalność, co tam wymaga konieczności własnego zdania, choćby ciut ciut odmiennego od szanownego przedmówcy, a co dopiero wobec tego artykułu, który w rozłożonym piśmie widnieje na przydzielonym stole.

Zaczniemy od formy. **Malarz Nr 2** widzi w Matejce prekursora impresjonizmu. **Literat** akurat naodwrot: zapóźnienie w Matejki wobec impresjonizmu, który w tych latach rozkwitał we Francji. Miał rację oczywiście literat, może się bowiem zdarzyć, że i na klubie miłośników sztuki nikt nie będzie miał racji w rzeczach sztuki. Nie miał jej **Malarz Nr 2**. Bo, że Matejko nie był prekursorem impresjonizmu — dokładnie i szczegółowo napisał już Witkiewicz („Krytyka i sztuka”). A Raszka Jan nie był ani czołowym, ani przedstawicielem — impresjonizmu. Najbliższy szczegółowej prawdy okazał się **Malarz Nr 1**. Ale i on zagrał metodą: ciut, ciut inaczej! „Mocno naciągnięty punktem — powiada — wydaje mi się sięganie aż do Veroneza i Tintoretta... Matejko świadomie nawiązuje do baroku”. Ano zgoda, tylko po co szerzej, kiedy ważniejsza jest charakterystyka węższa. I po co, podając szerszą (barok), przeciwstawiać ją węższej a również zawartej w baroku. Na klubie to może chwyt zadziwiający publiczność, ale i zaciemniający prawdę o formie malarstwa Matejki. Bo do jakich obrazów baroku nawiązuje Matejko?

- 1) nie do intymnych, małych, o małej liczbie postaci, obrazów holenderskich,
- 2) nie do dworskich obrazów klasycyzującego XVII wieku francuskiego,
- 3) nie do chłopskich scen i uczt na obrazach flamandzkich,
- 4) nie do religijnej ekstazy baroku hiszpańskiego o nielicznych (stosunkowo) zespołach postaci,
- 5) nie do wielopostaciowych uroczystości niebiańskich, jak na obrazach (a zwłaszcza na freskach) jezuitckiego baroku włoskiego (charakterystyczny byłby tu Tiepolo),

lecz właśnie do:

— dużych obrazów o wielkich tłumach, o tematyce wielkich zdarzeń historycznych. A takimi malarzami są właśnie Tintoretto i Veronese. Do tego szeregu można jeszcze dołączyć część obrazów Rubensa (np. na cześć Marii Medici, królowej francuskiej). Na to rozszerzenie można się zgodzić.

Malarz Nr 1 — jeszcze jedną sprawę postawił „ciut, ciut inaczej”. Zgadza się z naszym artykułem, że patriotyzm Matejki wyraża mocarstwowość szlachecką. „Te potęgę podkreśla jeszcze silniej technika malarstwa, zheroizowane postacie, patos figur”, ale „to wcale nie świadczy (i ten barok również?) o tym, że Matejko zajmował się wyłącznie epoką Jagiellońską i niewiele później tak co do formy, jak i co do treści”. A o czymże świadczy? Kiedy była „mocarstwowość szlachecka”, kiedy był barok — Tintoretto i Veronese? „Ale” na wiatr rzucać nie należy. Oczywiście, że Matejko obmalował całe dzieje Polski, podkreślaliśmy to, szło jednak o określenie epoki, na jakiej koncentruje się nasilenie największych i najślawniejszych Matejki obrazów. Czy nie będą to — Grunwald, Hołd Pruski, Dzwon Zygmunta, Batory pod Pskowem, Stańczyk, Kazanie Skargi, Sobieski pod Wiedniem? Czy nie one stanowią jego główne i największe obrazy? Poza tym okresem obrazów tego wymiaru kompozycyjnego to Joanna d'Arc, Rejtan i Kościuszko pod Racławicami. Obraz, w którym Matejko usiłował zerwać ze swoją przeszłością malarzką i nawiązać do postulatów Witkiewicza. Obraz szary w znaczeniu dosłownym, w sensie kolorytu i w przenośni, pozbawiony właściwego Matejce patosu dynamicznego.

„Historiozofia Matejki w tym „mocarstwowo szlacheckim” okresie znajduje swój punkt oparcia. W okresie, który my nazwalibyśmy epoką wielkich przedsięwzięć i firm spekulacyjno-osadniczych na wschodzie. W tym okresie również znajduje punkt oparcia w technice malarzkiej, w nawiązaniu do tradycji baroku Tintoretta i Veroneza.

2. PSYCHOLOGIZOWANIE

Ta prawda o formie i tematyce malarstwa Matejki zbyt natrączywie musiała się narzucać dyskutantom w klubie miłośników sztuki, aby ją mogli zbryć milczeniem. Dlatego Matejko był malarzem historycznym? Dlatego szedł w przeszłość i to tak „specyficzną”? To były pytania nie wypowiedziane, ale na które szanowni dyskutanci czuli się w obowiązku odpowiedzieć, a raczej — zażegnać je. **Literat** uważał, że nie będzie daleki od praw-

dy jeśli powie, że Matejko był „rozkochany w szlacheckiej przeszłości polskiej”. Ot i wyjaśnienie gotowe. Znakiem tego — **mania**, tyle, że szlachetniejsza od wielu innych. **Historyk sztuki i Malarz Nr 1** obrali inną metodę. Dlaczego malował przeszłość historyczną Matejko, a w szczególności dlaczego tak i tak, jak to określa nasz artykuł — to pytanie szanowni dyskutanci wymienili na inne — dlaczego nie malował inaczej i co innego? I tu już znaleźli się u siebie w domu (na prowincji). Ani kapitalizm na Zachodzie, ani roztrząsania natury politycznej i ekonomicznej, ani krytyka, słowem nic nie miało na Matejkę wpływu, bo był on „samotnikiem”, „odludkiem”, z „charakterem typem zamkniętym”. Jest to klasyczna ucieczka do psychologizmu. Psychika samotnika, zamkniętego w sobie introwertyka ma tłumaczyć głuchotę na hałasy w Europie i w samej Galicji. Szkoda, że nie powiedziano jeszcze dobitniej — od dziecka był samotnikiem i typem zamkniętym. Można by wtedy zachodzić w głowę, jak do Matejki w ogóle cośkolwiek doszło. Obraz „samotnika” to nie punkt wyjścia, to punkt dojścia, to obraz stabilizacji, ale nie psychologii tylko i nie w pierwszym rzędzie, stabilizacji osobowości społeczno-historycznej. To co dopuścił do siebie Matejko, zawiera treści klasowe, jak i to przed czym się zamknął. Nie sam historyczny rodzaj malarstwa skazał go na samotność i zamknięcie. Uczyniła to historiozofia, jaką wyznawał, ona była anachronizmem historycznym wówczas tak w Europie, jak i w kraju. Bronia i umacniała klasę, jaka była w epoce kapitalistycznej przeżytkiem feudalnym, ostaniała interesy burżuazji, która we wskrzeszaniu legendy Jagiellońskiej i stanowej mocarstwowości znajdowała narzędzie tuszowania narastających konfliktów klasowych, ujarzmiania rozbudzkających się mas chłopskich, podporządkowywania drobniejszości, dezorientowania klasy robotniczej. Nie „samotnik” odrzucał rozwinięte formy kapitalizmu i nie samotnik odrzucał dążenia mas ludowych. Ale fantazjując wznowienie mocarstwowości szlacheckiej odrzucając w ten sposób i kapitalizm przemysłowy i ruch wyzwolenia mas ludowych stawał na wąskiej bazie klasowej, izolowanej od rzeczywistych potrzeb narodu i od rzeczywistego etapu historii kapitalizmu w Europie, stawał na pozycji „samotnika”.

Odwotykanie się do psychologii introwertyka to sięganie do wiedzy, która mocno traci myśłą. Oczywiście na prowincji bardziej niż gdzie indziej mogły przetrwać te smutne tradycje z końca XIX wieku „charakterem” — załatwiający rolę jednostek w historii. Stosuje je jeszcze z głupia frant filar „Tygodnika Powszechnego”, Jasienica. Konrad Mazowiecki wg niego sprowadził Krzyżaków, bo miał potworny charakter, szkoda, że przy pomocy złego charakteru nie wyczerpał Krzyżaków, to by dopiero była sztuka. Można by na parafialno-prowincjonalnym zaplaciu smażyć wypracowania pt. „Jak to za sprawą złego charakteru Konrada Mazowieckiego pojawili się w Europie Krzyżacy”.

3. ŚWIATOWE I EUROPEJSKIE ZAGADNIENIA

Naszych dyskutantów staramy się wyjaśnić „po nitce do kłębka”. Najpierw pokazaliśmy, jak zatarli właściwą tradycję techniki malarzkiej, do jakiej nawiązał Matejko, potem — jak zatarli epokę, z której czerpał on przykazania dla narodu. (Nawiasem mówiąc była to epoka ta sama dla stylizacji malarzkiej co i dla „uczenia i poprawiania” narodu). Wreszcie, jak to „charakterem” wytłumaczono odejście Matejki od współczesności i od jej wpływów. Teraz przychodzi kolej na te „światowe i europejskie” sprawy, o których **Malarz Nr 1** orzekł, że „P. Chmura zbyt dużo pisząc o całej Europie, czy nawet świecie, zaciemnił fachowe uwagi Strzemińskiego”. Faktem jest, że Chmura i Strzemiński są innego zdania. To co **Malarz Nr 1** nazywa zaciemnieniem, my nazywamy rozjaśnieniem. A w tym, co **Malarz Nr 1** podaje jako wyjaśnienie — zupełne zamroczenie. „Rozwój imperializmu zachodniej Europy nie mógł działać na Matejkę, bo Matejko był zbyt daleko od rozstrząsań natury politycznej, będąc z charakteru typem zamkniętym w sobie i nie interesującym się bieżącymi wypadkami natury ekonomicznej czy socjologicznej”. O „charakterze” już się rzekło. Że zaś rozwój imperializmu zachodniej Europy na Matejkę „nie działał”, o tym **myśmy** pisali. I to trzeba było udowodnić. Gonitwa za koloniami, za koncesjami na dalekim Wschodzie, wzrost przemysłu i akumulacja kapitałów w tej, jak to sobie upraszczając, mówi **Malarz Nr 1** — „Zachodniej Europie”, to była jedna strona medalu, druga — Austria, wchodząca (poprzez samą Austrię i Czechy) w związki i zależności od kapitału i przemysłu zagranicznego i jej prowincje, takie jak Węgry i Galicja, wchodzące w rolę kolonii dla inwazji kapitalizmu austriacko-europejskiego. Dlatego rozwój imperializmu w Galicji można było zobaczyć tylko z tej drugiej strony barykady, od strony klas żyjących losem kolonialnych ludów. Patrząc zaś od strony magnaterii i szlacheckich, która we wschodniej Europie była przeżytko-

wym współnikiem i anachronicznym, krajowym plenipotentem eksploatującego kapitalizmu imperialnego, od tej strony działając (choćby jak Matejko na płótnie) ugruntowywało się bieżące wypadki natury ekonomicznej i socjologicznej, które imperializm czyniły na miejscu, w kraju, zjawiskiem żywym i wszechobecnym, w postaci nędzy mas ludowych i ich niewoli polityczno-społecznej.

Malarz Nr 2 po oracji swego kolegi, wypowiedział się oczywiście „ciut, ciut inaczej”. „Naciągniętą rzeczą przez „Wies” jest to, że imputuje się Matejce rzeczy o znaczeniu ogólnoludzkim jak rozwój kapitalizmu czy imperializmu. Wypadki takie jak i zagadnienia nie dochodziły do świadomości meżów stanu Galicji. I tym nie zajmował się też Matejko. Nędza galicyjska, ta przyszłowiowa nędza, była zbyt wielka i walka o prawa polityczne Polaków, o rozwój przemysłu, o place robotnicze, była zbyt silna, aby do Galicji mogły dotrzeć zagadnienia ogólnoeuropejskie”. Ten **Malarz** nam wyjaśnił! Wyobrażamy sobie, że przemawiał stojąc na głowie. Jedno tylko w tej pozycji nie uległo przewróceniu do góry nogami, to ci meżowie stanu Galicji, do których świadomości nie dochodziły sprawy o znaczeniu ogólnoludzkim. Święta prawda. Ale... nędza Galicji (wtedy wchodząca w przyszłość) masowa emigracja chłopska do Ameryki, walka o prawa polityczne, o rozwój przemysłu, o place robotnicze to — za pozwoleniem — jakie zagadnienia, nie ówczesne ogólnoeuropejskie? Nie zagadnienia kapitalizmu i imperializmu? Tylko, proszę panów, przeżywane i stające się celem walki dla masowej ofiary kapitalizmu i imperializmu — proletariatu i mas chłopskich.

Walka o prawa polityczne Polaków była w tym okresie zwycięską walką dla magnaterii polskiej, walką, w której ośmieszani i spychani w kąty posłowie chłopcy tak w krajowym Sejmie, jak i w Wiedniu musieli wysłuchiwać uchwał uprzywilejowujących ekonomicznie (w wywozie) wielkie folwarki w Galicji, za cenę chłopskiego bezruchu na roli i w mieście. Bo rozwój przemysłu w kraju magnateria „walcząca o prawa polityczne Polaków” przekreśliła na rzecz rozwoju przemysłu w Austrii i Czechach, co w dalszej konsekwencji równało się otworzeniu bram dla inwazji eksploatatorskiej kapitału zagranicznego. I stało się nie inaczej. Porzućmy dlatego frazesy o walce o prawa polityczne Polaków!

Dopowiadajmy, której klasy Polaków przeciw jakim klasom Polaków. I tylko wówczas zrozumiemy, dlaczego do świadomości „meżów stanu Galicji” nie dochodziły wypadki i zagadnienia, którym na imię było kapitalizm i imperializm. Jeśli tymi meżami stanu była magnateria a później wraz z nią burżuazja finansowa i przemysłowa (Diugosz, Poppery itp.), to kapitalizm i imperializm wyrażał się przez nich, w formach specyficznych dla Europy wschodniej, przy zachowaniu stanowego ceremoniału, w kontuszu, z karabelą i pod baldachimem. To pośredniczące ogniwo kapitalizmu i imperializmu maskowało swoimi archaicznymi formami życia i zachowaniem przeżytkowym układem stosunków społecznych i produkcyjnych, maskowało i kapitalizm i imperializm. W tej roli pośrednika oddzielnego od źródła rozwiniętego kapitalizmu, od jego procesów koncentracji przemysłowej i finansowej, od jego ekspansji na obce lądy i kraje, w tej roli jedynie kacyków, wygranych we współeksploatacji własnego kraju i narodu „meżowie stanu Galicji” musieli mieć również nonszalancko-błędne wyobrażenia o rozpętującej się wielkiej grze kapitalizmu imperialnego. W „zacisku” Austrii, w „zacisku” Galicji gołąbki wydawały się same lecieć do gąbki choć naprawdę wsuwał je europejski i światowy już mechanizm monopolistycznego i zaborczego kapitalizmu, potracając sobie również kosztą tej prowizji na masach ludowych narodu, do którego należeli „meżowie stanu Galicji”.

4. PATRIOTYZM I KIERUNEK ODDZIAŁANIA

Okazuje się zatem, że „europejskie i światowe sprawy” miały również miejsce w Galicji. I Matejko „samotnik” i „odludek” był z nimi w związku. Pisaliśmy o tym wyraźnie, w sposób uporządkowany, dlatego niepotrzebnie **Grafik** odpowiedział to raz jeszcze swoimi słowami i oczywiście „ciut, ciut inaczej”. Wyszedł groch z kapusta.

Galicja i Kraków były odległe od bitwy o koncesje w Chinach — jak pisaliśmy — ale zarazem bardzo bliskie sytuacji Chin. Z tej samej fali kapitalizmu imperialnego szedł zabór koncesji na galicyjską naftę, sól, węgiel i drzewo, szedł zabór najtańszego robotnika do Niemiec, Francji i do Ameryki.

Magnateria temu procesowi torowała drogę. Była siłą wyzyskana do utrwalenia i potęgowania tego procesu. Była jedyną siłą korzystającą z pośrednictwa w rozwinięciu tego procesu koncesyjno-kolonialnego. Matejki patriotyzm z nią był związany. My pisaliśmy i mówimy o jego obrazach, dyskutanci w klubie miłośników sztuki — o jego życiu.

Zatarli i oddalili „sprawy europejskie i światowe” (kapitalizm i imperializm) za dziewiątą górę, po czym z namaszczeniem

wystawili patriotyzm Matejki-człowieka, o-
czywiście również bez przymiotnika. Patrio-
ta, bo był super-kustosem zabytkowego
Krakowa (ergo-polskiego!), ufundował sty-
pendium dla studenta od witraży kościel-
nych, bronił gmachu Św. Ducha, restaura-
cji kościoła Panny Marii i malował — po-
zwólmy sobie i my tym razem na skrót —
Batorego pod Pskowem. Za granicą wysta-
wił obrazy „klasycznej dla Matejki epoki”
(Skarga, Hołd Pruski, Batory, Sobieski). Su-
mując. **Historik sztuki** powiada: człowiek-
patriota. To mało. Prof. Chałasiński okre-
ślił analogiczny wzór patriotyzmu wyraźniej
i ściślej. „W krakowskiej symbiozie inteli-
genckiego getta i arystokracji ukształtowała
się dostojna postać profesora cesarsko-kró-
lewskiego Uniwersytetu, doskonała, pełna
harmonii synteza uczoności i pozycji towa-
rzyskiej, c. k. profesora i hrabiego, **austriackiej prawomysłowości politycznej i kościel-
nej, oraz patriotycznego patusu historii pol-
skiej jako przedmurza chrześcijaństwa**. Do-
skonały wzór tego typu uczonego polskiego...
to prof. St. hr. Tarnowski, w kontuszu i przy
karabeli, wręczający obraz Matejki pt. „So-
bieski pod Wiedniem” papieżowi Leono-
wi XIII (1883)!” (Społeczna genealogia inte-
ligencji polskiej, str. 69).

Literat nazywa Matejkę „bezparytym”.
Niczym on był — jeno narodu. A z magna-
terią? Koty dani. „W obowiązkach względem
narodu straciliście serce — Wy hanba spo-

łeczeństwa polskiego” — tak miał powie-
dzieć, z czego literat wnosi o „demokratycz-
nym nastawieniu” Matejki. A możeby tak
pofilozofować Szanowny Literacie: po 1) ten,
co arystokrację mienił hanbą społeczeństwa,
malował historię Polski tak jakoś, że ma-
gnackość i szlacheckość „duchem dziejów”
stawała się tej Polski przeszłej i przyszłej
Po 2) zrobił to „w Rejtanie”, zhańbił magna-
terię za to, że przestała być sobą, że zdra-
dziła swą świętość. A to nie było przekreś-
leniem arystokracji, to była apelacja do niej.
ambicjonowanie jej do kontynuowania, ba-
do spotęgowanie fikcji minionej przeszłości.
To samo czynił Sienkiewicz. Nawet Żerom-
ski trząsł sumieniem magnaterii, chcąc z te-
go sumienia wytrząść lepszy los narodu.

Po 3) Jakież był rezultat? wymowna odpo-
wiedź daje cytowany fragment prof. Cha-
łasińskiego. Hrabia Tarnowski w kontuszu
i przy karabeli ofiarowuje „Sobieskiego pod
Wiedniem” papieżowi. Poprawił się, posłu-
chał tego, czego bardzo chciał usłyszeć.
Grafik, aby się pokazać „ciut, ciut ina-
czej”, zamknął dyskusję wcale konsekwent-
nym podsumowaniem wypowiedzi szanow-
nych przedmówców.

Jeśli Matejko był „samotnikiem”, jeśli nie
miał nic wspólnego ze współczesnymi prze-
mianami społecznymi, które ze świata i Eu-
ropy wnikały w życie Galicji, jeśli wsadził
głowę w archiwum szlacheckie, a liczebność
klasy ziemiańskiej w ówczesnej Galicji by-

ła już bardzo mała — to oddziaływanie ma-
larstwa Matejki winno być wąskie, na zie-
mianstwo, „podczas gdy cała masa społecz-
stwa negatywnie się doń ustosunkowała”.
Ale być konsekwentnym wobec szanownych
przedmówców w klubie prowincjonalnym to
czasem grozi popularnością od rzeczy. Matejko
zdobył popularność niemiejszą od Sienkie-
wicza, to fakt oczywisty.

I Sienkiewicz i Matejko dokonali tego, co
nazwał J. A. Król „wypożyczeniem szlache-
ckiej ojczyzny” ludowym masom narodu.
A. Stawar zwrócił uwagę na to, że „Ogniem
i mieczem” było odpowiedzia i na przegraną
rewolucję kapitalistyczną polskiego miesz-
czaństwa z okresu pozytywizmu i na pierw-
sze manifestacje proletariatu i pierwsze ru-
chy polityczne chłopów. Nie powstała moc-
na, niezależna polska burżuazja. Kapitalizm
rozwinął się w formie „najazdowej”, w czę-
ści poprzez lokalnych mandatariuszy, współ-
uczestniczących w przekształceniu kraju na
pół-kolonie. Kostium Polski szlacheckiej
przesłaniał ten proces, wtapiający się w
zmurszały układ stosunków pofeudalnych —
społecznie (arystokracja), gospodarczo (fol-
warki) i kulturowo (plebanie).

Dlatego ci, co ten kostium odświeżali, o-
zdabiali nim proces w gruncie rzeczy nie
prowadzący do średniowiecza, choć przy po-
mocy wielu narzędzi z tego okresu. **Grafik**
nie widzi żadnego związku ogniw między
obrazami Matejki a „wyprawą kijowską”

z 1920 r. Obszerne cytaty z artykułu J. Bo-
rejszy („Niepodległość nieurojona”) nie mu-
nie powiadały. To był „Szlachecki dyna-
mizm”, o jaki szło Matejce. Dynamizm w
„szlacheckim kostiumie”, w duchu jagielloń-
skiej, mocarstwowej przeszłości, ale przecież
realizujący w koncepcji Piłsudskiego Polskę
„jako imperialistycznego protektora wscho-
du, traktowanego jako pół-kolonia”. Lecz
„w rodzinie państw imperialistycznych i ka-
pitalistycznych Polska ze swoim słabym po-
tencjałem przemysłowym... w koncepcji Pił-
sudskiego mogła odegrać na Wschodzie tyl-
ko służącą rolę udziału w kolonialnych zy-
skach niemieckiego imperializmu w Euro-
pie Wschodniej”. Takie tylko mogło być
przedłużenie (w marzeniach i próbach, pry-
skających jak bańki mydlane) orientacji kla-
sy obszarowo-kapitalistycznej, która w la-
tach Matejki grała rolę „mężów stanu”, o-
twierających w Galicji koncesję dla kapita-
łu zagranicznego, i wyrzucających chłopów
za ocean.

Dlatego trzeba przestać opowiadać ko-
szalki opaki „o przełożeniu interesów po-
szczególnych jednostek ponad interes społe-
czeństwa” w wyprawie kijowskiej z r. 1920.
To była klasowa polityka, związana i zależ-
na od światowego i europejskiego rozwoju
kapitalizmu imperialnego, w którym raz jesz-
cze chciała stworzyć sobie wygodną, rezy-
dencką pozycję.

Piotr Chmura i Władysław Strzemiński

Roger Garaudy

JAK ŻYJĄ ARTYŚCI – PLASTYCY WE FRANCJI*)

Swiat kapitalistyczny jest okrutny dla
artystów. Nie daje on im zupełnie
prawa legalnej egzystencji. Kim jest
dla państwa burżuazyjnego artysta-
malarz lub rzeźbiarz? Gdy przed kil-
ku miesiącami skarb państwa decy-
dował, do jakiej kategorii płatniczej zaliczyć
artystów, zanotowano definicję wprost rewe-
lacyjną: z jednej części swych dochodów zo-
stałby oni opodatkowani według taksy obo-
wiązującej dla księży, z drugiej zaś, trudnej
do skontrolowania, przyrównani byłiby do
nomadów, osób często zmieniających swą sie-
dzibę. Tak więc dla rządzącej dziś burżuazji
artysta jest hybrydą, pół-proboszczem, pół-
tłuczem.

Jego dzieła uważa się za luksus, zbytek,
które rząd odrzuca, gdy uznaje, że ma zaje-
cia i wydatki ważniejsze niż sztuka. Wysta-
wy i muzea poświęcone artystom żyjącym
znajdują się w stanie opłakany od 15 lat.
Muzeum Luksemburskie zostało zamienione
po wyzwoleniu na archiwum wojenne, zaś na
parterze Małego Pałacu (Petit Palais) gdzie
odbywały się wystawy „Artysty naszych czas-
ów”, zainstalowano... komisariat policji. Po-
licja i wojna, jak widzimy, mają pierwszeń-
stwo przed kulturą i sztuką.

✱

W ustroju kapitalistycznym wszystkie tWo-
ry i produkty człowieka są towarami. Sytu-
acja producenta zależy od warunków podaży
i popytu. Jaka więc jest z tego punktu wi-
zdenia definicja ekonomiczna artysty - pla-
styka? Jest on producentem, bez statutu i bez
praw, towarów luksusowych. I z tej to defi-
nicji wynika jego położenie w obecnym spo-
łeczeństwie. Jako „producent” przedmiotów
zbytku, zna on wszystkie wahania rynku. Sytu-
acja artysty jest znośna tylko w krótkich
okresach tak zwanej „prosperity” lub w
okresach wyjątkowych, kiedy dzieła sztuki
zyskują wartość spekulacyjną. Tak było na-
przykład w latach 1942 — 45. Ograniczenia
powszechne, spowodowane okupacją, zmusiły
pewne warstwy społeczeństwa do przymuso-
wych oszczędności. Obrazy stały się źródłem
lokat kapitału, z braku lepszej. Na pewien czas
dzieła sztuki zyskały, jeśli nie na godność,
to na wartości w charakterze towaru. Tego
rodzaju okresy pomyślności są jednak wy-
jątkowe. Gdy tylko „interesy” zaczynają się
psuć i tym samym świadczą o zbliżającym
się kryzysie, pierwszą ofiarą zbliżającego się
kryzysu ekonomicznego, pierwszym bezro-
botnym — jest artysta...

W obecnych warunkach we Francji, arty-
sta - malarz, normalnie tworzący, ma wydat-
ki zawodowe w wysokości 100.000 fr. rocznie,
zaś rzeźbiarz 150.000 fr. Przyrośniętym do te-
go „minimum życiowe” określone przez orga-
nizację zawodową na 150.000 fr. i odpowiedz-
ny na pytanie: Ilu artystów malarzy lub
rzeźbiarzy zarabia dziś 300.000 fr. rocznie, ko-
niecznych do skromnej egzystencji i normal-
nej pracy? Nie będzie przesadą, jeśli odpo-
wiem, że w 1949 roku 80% artystów-plasty-
ków nie ma materialnych możliwości na wy-
konywanie swych zadań. Nie jest to tylko
dramatem osobistym każdego z nich, jest to
strata wartości duchowych całego narodu.
Ogromna większość bogactw ludzkich i ar-
tystycznych naszego kraju, staje się ugiem.

Do trudności ogólnych spowodowanych kry-
zysem ekonomii kapitalistycznej we Fran-
cji, które paraliżują działalność twórczą na-
szych artystów, dorzucić trzeba te specjalne
przeszkody i trudności, które istnieją tylko
dla nich. Rzeźbiarz i malarz są dla naszego
ustroju, jak powiedzieliśmy, producentami ar-
tykułów luksusowych. Lecz nie zapominajmy
dorzucić: producentami bez statutu i bez
praw. Wypływające z tego założenia trudności
odczuwają oni na każdym kroku. Wróćmy
najpierw do sytuacji podatkowej. Po długich
wahaniach porzucano porównanie ich z księ-
żmi i nomadami, skończono na zaliczeniu ar-
tystów do tzw. wolnych zawodów. Nie liczo-

no się jednak ze specyficznym charakterem
ich dochodów, zależnym w znacznej
części od przypadku. Artysta, producent
luksusu, stał się w rezultacie podwójną ofia-
rą zeszłorocznego „prélèvement Meyer”, spe-
cjalnego podatku dla chłopów i wolnych za-
wodów. Po pierwsze został on nadmiernie
obciążony, jako płatnik bezpośredni, po dru-
gie — przez podatki dodatkowe przy opera-
cjach handlowych produktami luksusowymi.
Wykres sprzedaży dzieł sztuki pokazuje naj-
lepiej, jak odbiło się to „prélèvement” na ma-
larzach. Choć wydaje się to paradoksalnym,
ale dla artystów znacznie wygodniejszym
byłoby zaliczenie ich do kategorii rzemieślni-
ków, niż przyrównanie z adwokatami i leka-
rzami. Korzystaliby oni wówczas z 23 § Ko-
deksu podatkowego, mówiącego o podatkach
pośrednich — rzemieślników...

Przejdźmy do sprawy pracowni malarskich.
Większość artystów paryskich posiada pra-
cownie nie odpowiadające ich potrzebom:
brudne, nie wystarczające, często pozbawione
wody bieżącej. Dlaczego? Nie tylko dlatego,
że nie prowadzi się żadnej polityki budowla-
nej, lecz przede wszystkim z tego względu,
że większość prawdziwych pracowni jest
dzierzawiona na warunkach spekulacyjnych,
pod nazwą „studiów” przez snobów, handla-
rzy antykwarem, lub handlarzy towarami
artystycznymi. Nie ma mowy o pierwszeń-
stwie dla prawdziwych artystów.

Ci zaś szczęśliwcy, którzy mają swoje pra-
cownie, muszą w przeważającej mierze zre-
zygnować z nich, z powodu nowej taryfy
mieszkaniowej. Atelier artystyczne wymaga
dużego metrażu i oświetlenia, a właśnie ta-
kie lokale są obiektem największej podwyżki
komornego...

Pogarda państwa burżuazyjnego do arty-
stów wyrażona jest jeszcze w budżecie Mini-
sterstwa Sztuk Pięknych. W budżecie tym
kredyty na utrzymanie wystaw i zakup dzieł
artystów żyjących złączone zostały w jedną

sumę. Nie wystarczy ona jednak na utrzy-
manie samych tylko muzeów. Jeden przykład
dodatkowy: w tym samym budżecie, na rok
1943 wydzielono 22 miliony na: subwencje
dla muzeum narodowego na zakup pierwszo-
rzednych dzieł sztuki. Jak wiadomo jeden
obraz Van Gogha czy Seurat'a kosztuje ty-
leż...

Nakoniec, zamówienia państwowe stano-
wią prawdziwą jarmuznę i dają jaskrawy
obraz tego, jak państwo ocenia pracę ar-
tystów. Oto dwa przykłady: W roku 1946 —
47 powierzono zrealizowanie statui Fenelona
w Cambrai pewnemu rzeźbiarzowi. Realizacja
wymagała 16 miesięcy pracy, rozdzielonych
na dwa prawie równe okresy. Za dzieło
to zapłacono mu 300.000 fr. Jeśli zsumuje-
my koszt odlewu i powiększenia, komorne-
go i opłat atelier, kupna kamienia i trans-
portu do pracowni, poży do modelu i opłaty
pomocników, otrzymamy 190.000 fr. Czysty
dochód rzeźbiarza, nie biorąc pod uwagę po-
datków wynosił 110.000 fr. za 16 miesięcy
pracy. Mniej więcej tyleż zarabiał w tym
okresie niewykwalifikowany robotnik...

Trzeba zmienić ten stan rzeczy. Dać arty-
stom statut specjalny, pracownice, zabezpie-
czyć zbyt ich prac, zwrócić lokale wystawo-
we (Luksemburg i Petit Palais), zorganizować
wystawy międzynarodowe malarstwa i rzeź-
by we Francji i wówczas Paryż odzyska
swoją zaszczytną tytuł stolicy sztuki...

Potrzeba stanowiącej polityki. Największy-
mi zaś wrogami artystów są ci, którzy bawią
się w demagogię i gestykulację. W marcu u-
biegłego roku „Przyjaciele sztuki” rozpisali
ankietę poświęconą obronie artystów - pla-
styków. Wśród obietnic i deklaracji słysze-
liśmy pana Buron (M.R.P.), pana Binot (S.F.
I.O.) i gauliste Claudius'a Petita, który od-
krył przyczynę wielkiego upadku naszej
sztuki: „Powieć wam dlaczego: wszystkie-
mu winne jest to, że ludzie polityki nie in-
teresują się sztuką” Ci trzej parlamentarzy-

Grzegorz Tomala

Na terenie pewnej gminy...

Pprzed 1939 rokiem na terenie naszej gmi-
ny liczącej kilka dość dużych wiosek
były zaledwie 2 biblioteki, z których
mogli korzystać wszyscy mieszkańcy.
Główna jednak warstwa mieszkańców gmi-
ny, która stanowiła średnio i matorolni chło-
pi, zajęta troską o chleb powszedni rzadko
miała chwilę czasu, którą mogłaby poświęcić
na czytanie książek. Mała tylko liczba chło-
pów — przeważnie bogatszych — znajdowa-
ła na to wolny czas. Lecz ich czytanie nie
przynosiło nikomu żadnego pożytku. Czytali
oni: bowiem nie po to, aby się czegoś nau-
czyć, aby dowiedzieć się o życiu, o stosunku
jednej klasy społecznej do drugiej, ale czy-
tali po prostu dlatego, bo podobają im się
jakaś scena, postać, lub watek erotyczny w
danym utworze. Ta część utworu czytana
była w każdej wolnej chwili. Czytano wiele ro-
mansów, powieści sensacyjnych, które obfito-
wały w mordy i różne „cuda” czynione przez
detektywów. Natomiast wartościowe powie-
ści Prusa, Reymonta lub Żeromskiego i in-
nych były zupełnie nieznane. Nikt np. nie
wiedział o „Kordianie i chamie” Kruczkow-
skiego.

Zobaczmy jednak, jak inaczej ta sama
sprawa wygląda na terenie tejże gminy —
dziś. Otóż z początkiem 1949 r. na terenie
wspomnianej gminy do dwóch stałych biblio-
tek dodano siedem punktów bibliotecz-
nych, które pozwalały każdemu obywatelowi
na swobodny wybór książek. Otwarcie pun-
któw bibliotecznych, a tym samym udostęp-
nienie czytelnictwa, zostało przyjęte z wi-
docznym zadowoleniem przez chłopów, któ-
rzy wierzą teraz sami i powtarzają, że pań-
stwo chce podnieść wśród nich oświatę i po-
lepszyć ich dole, bowiem umożliwia im do-
stęp do książek, do wiedzy, która przecież
jest niezbędnym czynnikiem rozwoju klasy

chłopskiej. Tę potrzebę wiedzy odczuwają
wszyscy i garną się do niej chętnie. Na czo-
ło jednak wysuwa się młodzież. Po niej do-
piero idą dorośli do lat 30 kilku a za nimi
wreszcie starzy. Czytelnicy czytają utwory
różnych pisarzy, najwięcej jednak Kraszew-
skiego, Sienkiewicza, Prusa, Reymonta i Że-
romskiego. Nie gardzą także powieściami
podróżniczymi. Czytają także i to z cie-
kawością utwory współczesnych pisarzy,
utwory przedstawiające walki klas w daw-
nej Polsce i zawsze są nieodłącznymi sym-
ptakami pokrzywdzonych, wyzyskiwanych,
tych z „Dalekie i bliskie” Władysława Kowal-
skiego, czy z „Ugorów” Pogana. Za niemię-
radosny objaw należy również uważać fakt,
że czytają książki poświęcone ich zawodowi
— rolnictwu i co jest jeszcze bardziej rado-
sne, że korzystają skrzętnie z porad tam wy-
czytanych. Chłopi czytają także gazety, któ-
re zajęły w ich życiu naczelną miejsce. Przed
wojną w naszej gminie prenumerata wszy-
stkich czasopism rolniczych nie osiągała
liczb stu. Dziś rozpowszechnione są po
wszech takie czasopisma jak: „Wieś”, „Ziel-
ony Sztandar”, „Dziennik Ludowy”, „Rolnik
Polski”, „Chłopska Droga”, „Głos Chłopski”,
które czytane są przez tysiące czytelników.
Czytają je nawet starzy, którzy narzekają na
niedostateczne światło, jakie dają lampy
naftowe, oraz na brak okularów. Z tym o-
statnim radzą sobie jednak wymieniać: bo-
wiem kilku, a nawet kilkunastu chłopów ko-
rzyści z jednych okularów. Nierzadko oku-
lary takie wędrują przez kilka dni od domu
do domu, zanim wrócą do właściciela.

Wyżej wymienione fakty mówią same za
siebie. Wystarczy je zebrać i porównać, aby
mieć dane postępu oświaty na wsi.

Rzejewice, pow. Radomsko

ści należą do większości rządowej, która ru-
nuje artystów, zaś pan C. Petit, został w
miedzy czasie ministrem budowy. I oto wi-
dzimy go przy robotce. Co robi? Jest auto-
rem nowego prawa mieszkaniowego, które
wyrzuca artystów z ich pracowni. Istnieje
jeszcze jeden problem, związany z rozwo-
jem sztuk pięknych we Francji. Jest nim
problem nauczania sztuk plastycznych w
szkołach. Znajduje się ono w stanie stałego
upadku, na wszystkich szczeblach nauczania.
W szkołach średnich zamiast 4 godzin tygod-
niowo mamy dzisiaj 1½. Na wyższych
uczelnianach (politechnikach) poświęca się ry-
sunkom 2 godziny miesięcznie. Wreszcie brak
wszelkiego zabezpieczenia studentów (sty-
pedniów) i wysokość czesnego redukuje stale
ilość przyszłych artystów.

W dzisiejszej Francji bariera finansowa,
bariera polityki klasowej zamyka drogę do
sztuki, do Francji artystycznej, ogromnej
większości naszej młodzieży. W reżymie, któ-
ry zmusza 80% rodzin do posyłania swych
dzieci w wieku 13 — 14 lat do pracy, bez
względu na ich zdolności, zabija się codzien-
nie małego Cézanne'a i małego Rodina. Nie
mówimy, że w ustroju innym, każde dziecko
stanie się Cézann'em lub Rodin'em, lecz je-
steśmy przekonani, że pozwoli się każdemu
młodemu, który ma talent, rozwinąć go w
zupełności...

W „Antoniuszu i Kleopatrze” Szekspira bo-
gowie w decydującym momencie bitwy
d'Actium zmieniają obóz. W naszej rzeczy-
wistości mistrzowie kultury i sztuki porzuca-
ją obóz burżuazji i stają u boku klasy robot-
niczej, u boku tych, którzy bronią życia. Dla-
tego panowie z klasy panującej nienawidzą
i boją się reprezentantów kultury i sztuki.
Nikt nie śmie oczywiście mówić jak w drama-
cie hitlerowskim: „Gdy słyszysz słowo kultura
— wyciągam rewolwer”, lecz walczą się z nią
sposobami znacznie skuteczniejszymi. Budżet
francuski w 1949 roku mówi za siebie. Nasi
władcy chcą zrobić z Francji państwo poli-
cyjne, rezerwu piechurów dla przyszłego
legionu „antybolsewickiego”. Kredyty woj-
skowe przekraczają 400 miliardów. Wystar-
czyłoby jednodniowych wydatków milita-
rych na zabezpieczenie pracy artystom plas-
tykom w ciągu roku. 30 miliardów wydano na
dwukrotne mobilizacje przeciwstrajkowe. Mo-
żna by za tę sumę zabezpieczyć zamówieniami
wszystkich naszych artystów i to w ciągu
długich lat, dać możność Francji odzyskania
swojego autorytetu twórcy artystycznego.

I równolegle do tego wzmagania się pań-
stwowej maszyni represyjnej szaleje wolność
wypowiadania się. Oto kilka przykładów:

Artysta Fougereon został oddany pod sąd za
swoją afisz w obronie pokoju. Minister spraw
wewnętrznych, który kazał strzelać do grom-
ków we Francji, zabronił wyświetlania filmu z
rysunkami Daumier'a**) poświęconemu rocz-
nicy „Wiosny Ludów”. Pan Jules Moch zaka-
zał wystawę rysunków Daumiera, czego Ca-
vaignac***) w czasie najgroźszej represji nie
śmiał zrobić. Państwo chce zamknąć artystę
w wąskich ramach producenta luksusu. Je-
śli zaś chce on uczynić ze swej sztuki funkcję
postępu socjalnego, spada na niego natych-
miast represja polityczna.

W tych warunkach materialnych i mora-
lnych nie ma więc mowy o rozwoju i istnie-
niu sztuki. Trzeba wybrać. I ten wybór fun-
damentalny jest nie tylko wyborem artysty.
— Jest on wyborem obywatela.

Artysta jest przede wszystkim obywatelem.
I przyszłość sztuki zależy od jego wysiłków
obywatelskich. Przyszłość sztuki jest związa-
na z przyszłością ludzi i narodu. Nie ma no-
wej sztuki bez nowych ludzi, i nie ma sztuki
wolnej w narodzie niewolników. Sprawa sztuki
zlewa się w jedno ze sprawą ludu.

Tłumaczył Karol Kewer

**) Malarz francuski z połowy XIX wieku.

**) General francuski, w następstwie pre-
zydent, który dokonał krwawej rzezi robotni-
ków w czerwcu 1848 r.

*) La Nouvelle Critique, nr 2, styczeń
1949.

Paulina Czyżowa

BŁĘDNE ROZUMOWANIE

W poprzednim (7) numerze „Wsi” ukazał się artykuł Lecha Budreckiego „Liberalizm wobec imperializmu”. Artykuł ten redakcja uważa za dyskusyjny, ponieważ niedość jasno precyzuje on pewne pojęcia, z czego mogłyby wynikać poważne błędy w interpretacji. Artykuł Budreckiego zestawia trzy wybitne pozycje literatury powojennej w Polsce, dające ocenę wojny hitlerowskiej w kategoriach moralnych. Artykuł łączy te utwory literackie wskazaniem wspólnego źródła tych ocen — pierwszego ostrego zetknięcia się mieszkańców liberalów z przejawami imperializmu światowego. Zofia Nałkowska w „Medalionach”, Artur Sandauer w „Śmierci liberala” i Tadeusz Borowski w obu swoich książkach „Pożegnanie z Marią” i „Kamienny świat” potępiają faszyzm — jak pisze Budrecki — w imię „umowy etycznej” przyjętej przez mieszkańców liberalizm.

Otóż — liberalizm! Budrecki utożsamia go z moralizmem. Więc moralizm = liberalizmowi, liberalizm = moralizmowi. W konsekwencji wszystko co moralistyczne jest liberalistycznym i na odwrót. Myśl tę można uważać co najwyżej za paradoks — bądź logiczne niewykonalne rozumowanie. Gdyby się przyjrzeć bliżej historii liberalizmu można by w niej znaleźć obrazy i postaci niemniej amoralne — niż amoralizm imperializmu. Np. Cavaignac i rzekę czerwcową, Thiers i rzekę komunardów paryskich. I dziesiątki innych. Gdyby zaś moralizm był tą podstawową i wyróżniającą zasadą liberalizmu — trzeba by katolickiego Dantego zaliczyć do mieszczańskich liberalów, a cynicznego i amoralnego mieszczaństwa Rabelaisa do antymieszczańskich obozu. Budrecki nie rozumiał po prostu kameleonowej historii liberalizmu i liberalnego mieszczaństwa — które niekiedy broni króla przeciw skrajnym monarchistom, kiedy indziej uderza króla wspólnie z grupami centrowymi, raz broni centralizmu państwowego, innym razem zaczyna głosić swoistego rodzaju anarchizm, czasem broni ogólnoludzkiej moralności, by później własnoręcznie ją zlikwidować. Zawsze jednak ma na oku swój własny interes klasowy. Na tę zmienność i wewnętrzna dialektykę liberalizmu zwracali już uwagę jego krytycy w pierwszej połowie XIX w. Moralizm i moralistyczna wrażliwość liberalizmu była co najwyżej jedną z wielu jego masek. I nie w nich tkwią istotne cechy liberalizmu.

Czy można jednak zaprzeczyć, że każdy system społeczny posiada właściwe sobie normy i oceny moralne. Gdyby Budrecki wykazał, jakie są oceny i normy moralne liberalizmu — i następnie dopiero przyrównał je do norm i ocen moralnych omawianych przez siebie autorów — wówczas dopiero miałby prawo (gdyby wynik porównania pozwolił na postawienie znaku równości między normami moralnymi autorów i liberalizmu) zaliczyć ich do obozu liberalistycznego. Zaliczenie ich do tego obozu dlatego tylko, że oceniają zbrodnie hitlerowskie z pozycji etycznych i nie dostrzegają sprzeczności klasowych faszyzmu — jest co najmniej niewystarczające. Przyczyną tego rodzaju widzenia mogą być przecież nieumiejętności obserwacji politycznej (co znów nie jest błędem tylko i wyłącznie liberalizmu), wpływy ideologii chrześcijańskiej lub zapóźnionego utopizmu społecznego (którego wpływów na naszą inteligencję Budrecki wyraźnie nie docenia), albo anarchizmu, który jest ideologią raczej dro-

bnego niż wielkiego mieszczaństwa. Itd. itd. Argumentacja Budreckiego jest wyraźnie niewystarczająca — a to przede wszystkim z powodu braku precyzji pojęciowej. Zbyt szerokie pojęcie „liberalizm” i podciągnięcie pod ten strychulec wszystkich siedmiu grzechów głównych jest skromnie mówiąc — błędem.

Budrecki stara się dowiedzieć (daremnie), że odruch moralnego oburzenia na „masowe egzekucje, gazowanie Żydów, antropofagie, przetapianie ciał ludzkich na mydło” — jest konwencją myślenia liberalistycznego. Dlaczego? Gdyż, znów, nie domyślał problemu do końca. Zbrodnie faszyzmu potępiali wszyscy antyfaszyści. Z potępieniem Oświęcimia, Majdanka, Treblinki wystąpił pierwszy Związek Radziecki i Stalin. Nie w potępieniu moralnym faszyzmu rozchodziły się poglądy partii wewnątrz bloku antyfaszystowskiego, i nie w ocenie jego zewnętrznych przejawów, czynów i działalności — ale w umiejętności zrozumienia wewnętrznych mechanizmów ustroju faszyzmu, jako przejawu gnicia i łamania się kapitalizmu. Potępienie zbrodni — nie dzieliło ale łączyło oboz antyfaszystowski. To potępienie

wzmocniało front wyzwolenczy w czasie wojny, było źródłem jedności narodowej. I często, bardzo często prowadziło liczne jednostki z warstw inteligentnych do obozu robotniczego i komunistycznego (czego znów nie rozumiał Budrecki). Było pierwszym wejściem w brud imperializmu, które następnie — pogłębiając i intelektualizując — wprowadzało uczciwego człowieka i obserwatora do obozu robotniczego.

Tę sprawę Budrecki całkowicie pominął. A nie powinien był pominąć. Bo sprawa sojuszników jest dla klasy robotniczej nader ważna i istotna. Jest to częstokroć kwestia życia i śmierci, zwycięstwa czy klęski socjalizmu. Nie wolno i nie należy schematycznie i sucho potępiać i wyrzucać za burtę (jak to robi Budrecki) ludzi, należących do sojuszników klasy robotniczej, którzy raczej potrzebują poważnej porady artystycznej czy filozoficznej, słusznej krytyki — a nie politycznego potępienia. Niezbyt poważnego — jak u Budreckiego — i ekstrawaganckiego. U kogoś żdźbło... itd.

Budrecki zarzucając omawianym przez siebie pisarzom moralizm i nieprzekroczenie go w kierunku wyjaśnienia me-

chanizmu moralności — idzie zbyt daleko w krytyce, a przynajmniej zbyt daleko, jeśli chodzi o obecny etap naszego życia społeczno-kulturalnego. Pozostaje wrażenie, że zagubiono tu podstawowe bodajże specyficzne literatury, która interesuje się zawsze w różnych stylach i kategoriach ocen indywidualnym ludzkim, losami człowieka jako przejawu życia grupowego i społecznego. Oceniać w kategoriach moralnych, jest zadaniem i przywilejem pisarzy, przywilejem, z którego zrezygnować nie mogą, zadaniem, które spełniać powinni.

Błędne sugestie płynące z artykułu Budreckiego, będącego wszak artykułem politycznym, bliższym publicystyce politycznej niż krytyce literackiej, wynikają zapewne z efektownego, ale nie zupełnie istotnego zestawienia tak odrębnych indywidualności pisarskich (literackich), jak omawiane. Zastąga jednak i niewątpliwie słuszną tezę artykułu Budreckiego jest przeciwstawienie się poglądom o immoralizmie Sandauera i Borowskiego. Sandauer a zwłaszcza Tadeusz Borowski są najwrażliwszymi bodaj w powojennej literaturze polskiej moralistami „czasu pogardy”.

Krzysztof Sławiński

DYPLOMACJA ATOMOWA

Białe Dom przeżył ostatnio niezbyt przyjemne chwile. Dwa oświadczenia radzieckie — tak bardzo pokojowe — wprowadziły w stan wzburzenia amerykańskich dyplomatów, którzy obawiają się deklaracji pokojowych ZSRR jak ostawionego diabła łaciny. Nowe kulisy tego zatwierdzenia „pokojowego” mocarstw anglosaskich obnażył przed niedawnym czasem fizyk angielski, jeden z czołowych badaczy energii atomowej prof. P. M. S. Blackett w książce „Military and Political Consequence of Atomic Energy” (Wojkowe i polityczne następstwa wynalazku energii atomowej). Książka jest obszerna i ciekawa. Zarówno dlatego, że pokazuje istotny sens tzw. polityki atomowej jak i jej rzeczywistą siłę, a ściślej nie-moc.

Otóż po pierwsze autor stwierdza, że cała kampania lotnicza w czasie drugiej wojny światowej — nie przyniosła koalicji większych korzyści a faszyzmu agresorom większych strat. Przeliczmy wyniki liczbowe. Na Niemcy i Japonię zrzucono ogółem 2,7 miliona ton bomb — z tego tylko na Niemcy przypadło 1,35 miliona ton. A jakież były efekty? Według oświadczenia głównodowodzącego angielskich sił lotniczych naloty bombowe obniżyły potencjał przemysłowy Niemiec w 1943 r. o 10 proc. — a produkcję materiałów zbrojeniowych tylko o 5 proc. Blackett stwierdza wyraźnie, że rozgromienie Niemiec nastąpiło przede wszystkim na lądzie. I tylko na lądzie. Czyż nie jest to wystarczające doświadczenie dla dzisiejszych agresorów? Stuchajmy dalszych wywodów Blacketta. Głośna, nader głośna, sprawa

*) Pewne dane informacyjne płynące z amerykańskich kół politycznych świadczą, że lotnictwo amerykańskie starało się oszczędzać ośrodki przemysłowe Niemiec.

Maciej Koliba

PRZODOWNIKOM WSI

Na łamach tygodnika „Wies” toczyła się w latach 1946 — 7 dyskusja, w jaki sposób rozszerzyć czytelnictwo na wsi. Stary działacz ludowy i nowy przodowniczy element — stwierdzali wówczas, że na terenie wiejskim istnieje zapotrzebowanie na książkę. Trudności widziano tylko od strony organizacyjnej — w braku ognia przerzutu książki na wieś i ponadto w jej wysokiej cenie. Dzisiaj sprawa radykalnie się zmieniła. Z chwilą powstania Komitetu Upowszechniania Książki jest rozwiązany problem kolportażu a przede wszystkim udostępniona możliwość nabycia książki przez znaczne obniżenie jej ceny. KUK rzucił na rynek przed miesiącem pierwszą partię książek. Składają na nią dzieła klasyków europejskich i polskich. Jest więc z europejskich Wiktor Hugo (Nędznicy), Gorki (Matka), z polskich: Jeź, Kraszewski, Orzeszkowa, Sienkiewicz. Czytelnik wiejski na podstawie „Dziurdziów” Orzeszkowej „Roztoków” Orkana i „Orki na ugorze” Wiktorę może dowiedzieć się, jak rozgrywały się dzieje wsi w określonych epokach historycznych. Akcja KUK-u jest szeroko zaplanowana. Obejmuje ona dzieła najcenniejsze najnowszej literatury europejskiej i polskiej. Zbliży w ten sposób nowego, masowego czytelnika do najcenniejszych wartości w naszej kulturze, stworzy podstawy do prawidłowego rozumienia współczesności.

Komitet Upowszechniania Książki po wydaniu pierwszych 12 pozycji akcję rozprowadzenia książek powierzył Państwowemu Zakładowi Wydawnictw Szkolnych, akcentując, by książki dostały się w ręce czytelnika nie biurokrata dostającego w dostatecznym stopniu udziału w konsumowaniu dóbr kulturalnych

bomby atomowej, straconej na Japonię. Cóż mówi o tej historii angielski profesor?

Stwierdza najpierw, że wśród amerykańskich sfer naukowych istniała wówczas silna opozycja przeciwko użyciu energii atomowej w charakterze broni niszczycielskiej. Po pierwsze z przyczyn humanitarnych, po wtóre — nie wierono w ich skuteczność. Blackett cytując artykuł byłego amerykańskiego ministra spraw wojskowych, z którego wyraźnie wynika, że politycy amerykańscy zdawali sobie sprawę z całej zbieżności użycia bomby atomowej. Po co jej więc użyli? Zagadką niezbyt skomplikowaną, po prostu — wyjaśnia prof. Blackett — gra dyplomatyczna. Bomby atomowej użyto w istocie nie przeciwko Japonii, lecz przeciwko... Związkowi Radzieckiemu. Blackett pisze, że użycie bomby atomowej „nie było wcale ostatnim aktem drugiej wojny światowej, lecz pierwszym aktem zimnej wojny dyplomatycznej przeciwko Rosji”. Czyż nie jest to wystarczający argument dwulicowości amerykańskiej polityki? Ale to jeszcze nie wszystko.

Politycy amerykańscy przed zrzuconiem i po zrzuconiu bomby atomowej na Hiroshimę zdawali sobie dobrze sprawę, że nie miała ona wcale decydującego wpływu na wojnę z Japonią. Nie przyczyniła się w żadnej mierze do osłabienia siły militarnej Japonii — gdyż wówczas jeszcze jej główne siły zbrojne były niemalże nienaruszone. Ale czegoż nie robi „wszechwładna” propaganda amerykańska? Rozdmuchano agresję atomową — oświadczone, że była ostatnim gwoździem wbitym w trumnę japońskiego faszyzmu. Blackett wykazuje jasno i wyraźnie, że to nie bomba atomowa, ale uderzenia Armii Radzieckiej, które pozwoliły ująć Japonię w podwójne kleszcze — zmusiły Tokio do kapi-

tulacji. Ale kłamstwo cudownej skuteczności bomby atomowej zbudowanej na tak kruchych podstawach wciąż jeszcze żyje na Zachodzie. Jeszcze do dziś dnia politycy waszyngtońscy wierzą, że polityka zagrożenia „atomowego” pozwoli im osiągnąć panowanie nad całym światem. Wiara złudna i nie-realna. Blackett rozwiewa także ten miraż, gdyż miast wzmacniać autorytet Stanów Zjednoczonych — przysparza im coraz więcej wrogów — i coraz bardziej wyisobnia z ludzkości wzmacniając równocześnie autorytet ZSRR.

W dalszych partiach książki Blackett obnaża cały agresywny i imperialistyczny cynizm słynnego planu kontroli atomowej Barucha i knowania bieżącej polityki Waszyngtonu. Bezustannie jednak wykazuje, jak wielka rozpaczera się przepaść pomiędzy pragnieniami a możliwościami, między wolą imperialistów — której przeciwstawiają się narody, a wykonaniem zamierzeń, których nie mogą zrealizować wbrew woli ludów, potwierdzając tym samym słowa Zdanowa, że „między życzeniem imperialistów rozpętania nowej wojny i możliwością zorganizowania takiej wojny — istnieje ogromny dystans”. Tym bardziej, że Ameryka nie posiada już monopolu na bombę atomową.

Jakże teraz wygląda — na tle książki prof. Blacketta — polityka mocarstw anglosaskich? Przypomina nieco porcelanę, niezbyt delikatną i subtelną, ale w każdym bądź razie kruchą. Rozbijają ją narody Związku Radzieckiego i krajów demokracji ludowej, ludy Azji i Europy, demokracja całego świata.

Zdaje się też, że dlatego boi się Waszyngton tak bardzo ofert pokojowych Stalina, gdyż wie, ilu ma przeciwników na całym świecie i jak mało posiada realnych możliwości wykonania swoich planów wojennych.

W NUMERZE 7 (186) TYGODNIKA „WIEŚ”
z dnia 13 lutego 1949 r.

Leonard Sobierajski — Czy tak o klasie robotniczej? Anna Kamińska — Pamiętnik realistyczny małomoralnego, Karola Młota, Klemens Oleksik — Rozmowa (wiersz). Zygfryd Sawko — Legenda o dionizjuszach (wiersz). Jerzy Miller — wiersz. Lech Budrecki — Liberalizm wobec imperializmu. B. Bychowski — Ucieczka od wolności. Edward Mar-tuszewski — Dwa bieguny sztuki filmowej. Władysław Strzemiński — Współcześni? Roger Garaudy — Komuniści i postępowi katolicy we Francji. Maria Kowalska — Trzy miesięczniki literackie Maciej Czuła — Ks. Stojalowski i Stapiński. Józef Choczyński — W sprawie kanonizacji ks. Stojalowskiego. Piotr Pigwa — Dawną już działamy za rogatkami Edmund Nizlarski — Słowo o prowincji. Fakty i zdania. Ilustracji 17 Stron 12.

Ofensywa pokoju

Związek Radziecki zgłasza na Radzie Narodów Zjednoczonych propozycję zawarcia trwałego pokoju. Delegat radziecki proponuje na Radzie Bezpieczeństwa przy O. N. Z. poważną redukcję sił zbrojnych wielkich mocarstw i poważną redukcję wydatków na cele wojenne. Dlaczego przedstawiciele USA i Wielkiej Brytanii — Warren Austin i Alexander Cadogan nie umieli odpowiedzieć na propozycję rzeczników pokoju?

Sprawa wygląda bardzo prosto. „Nie ulega wątpliwości, że wydatki wojskowe stworzyły w Ameryce sztuczną prosperitę. Byłoby dla nas ciosem, gdyby „zimna wojna“ skończyła się — pisze „Un News and World Report“ — organ amerykańskich fabrykantów.

Delegaci anglosascy nigdy nie podejmą propozycji pokojowych, ponieważ reprezentują na Radzie Bezpieczeństwa interesy kapitału amerykańskiego. A kapitał amerykański spotka miazdzący cios, jeżeli na świecie zapanuje pokój. Dlatego porozumienie jest takie trudne. W jakich warunkach może jednak nastąpić? Jeżeli Amerykanie i Anglicy będą reprezentowani nie przez delegatów kapitału — ale przez zwolenników pokoju — których i w USA i Anglii nie brak.

p. p.

Gmina czy parafia ośrodkiem kultury?

Minister Sokorski mówił na grudniowym kongresie PZPR, że zgodnie z planem upowszechnienia kultury będziemy mieli w każdej gminie bibliotekę, świetlicę, lub dom kultury, w każdym powiecie co najmniej jedno kino stałe i salę teatralną i w każdym województwie stały teatr zawodowy, teatry objazdowe, wojewódzkie zespoły artystyczne.

Praktyka mówi, że zadanie jest trudne, ale wykonalne. Komitet Upowszechnienia Książki, nowa potężna instytucja kulturalna, rozwiązuje powoli krok za krokiem problem czytelnictwa na wsi. Któż nie wie, że otwarto w ubiegłym miesiącu 1.500 bibliotek gminnych i 20.000 punktów bibliotecznych w kraju? Fakt ten określa się jako rozpoczęcie ofensywy kulturalnej na wieś.

Trzeba jednak pamiętać o innej ofensywie kulturalnej na wieś, wspieranej nie tyle jakimiś środkami materialnymi i przez dobrze zorganizowaną sieć administracji. Któż inny, poza ludowym państwem, zgłosił drugi plan kulturalny dla wsi i zamierza go zrealizować? Uchylamy rąbka publicznej tajemnicy: „parafia zawsze była i jest ośrodkiem kultury. Musi ona także wziąć udział w upowszechnieniu kultury przez książkę... przy boku kapłana staje biblioteka jako ważna placówka wychowawcza... Biblioteka winna być umieszczona... w lokalu „Caritasu“ czy świetlicy parafialnej w każdym jednak razie w obrębie kościoła... W życiu parafii można umiejętnie związać uroczystość kościelną z odpowiednią lekturą przez wystawienie np. w kiosku, przy kościele czy w kramiku książek odpowiedniej treści. A więc przy uroczystościach świętych — ich żywoty etc... W każdej bibliotece parafialnej musi znaleźć się lektura wymagana w szkole. Dziecko, znajdując książkę potrzebną w bibliotece parafialnej... przywiązuje się stopniowo do komórki życia katolickiego... Pożyczkiwanie odbywać się powinno najpierw przez propagandę z ambony... Skąd ten plan? Ze „Słowa Powszechnego“ (15.12.48).

Czy plan realizowany przez ambony i „Caritas“ jest zgodny z państwowym planem upowszechnienia kultury? Nie pewno — nie. Czytelnik prasy katolickiej, szczególnie zaś „Tygodnika Powszechnego“ dostrzeże bez trudu, że Kościół proponuje jako podstawową lekturę dla wsi — żywoty świętych, szlachetnych królów i rycerzy i chce utrzymać kulturę w starym układzie dworsko — parafialnym. Jest to propozycja nie do przyjęcia. Zresztą, gdyby w obu planach chodziło o upowszechnienie takiej samej kultury, nie mówilibyśmy, że polityka kleru jest bardzo często sprzeczna z interesami Państwa Ludowego, nie powstałby równocześnie po państwowym — drugi, księży plan kulturalny, wspierany miliardami złotych.

I o tym trzeba pamiętać nawet w sytuacji, kiedy większość naszych gmin ma już dostarczone książki przez KUK.

J. S.

Pożyteczna książka „Czytelnika“

„Onegdaj stojąc przed witryną księgarni w Sosnowcu posłyszawszy rozmowę dwu uczniów ze szkoły zawodowej:

— O, patrz Władziu, jest nowa powieść amerykańska „Kakao“.

— Wandziu, nie kupuj jej, bo to jest wielkie świństwo.

— Ależ Władziu, co jest świństwo — kakao?

— Nie kakao, ale ta książka. Radzę ci, nie bierz jej do ręki.

Zaskoczona Władzia, pociągnięta przez towarzyszkę, odeszła. Wyczułem z jej ociągania się, że napewno przyjdzie tu jeszcze i książkę kupić.

Oto jest początek noty, nadesłanej do redakcji przez jednego z „przyjaciół“ w terenie. Pan X (tak będziemy dalej nazywać naszego korespondenta), oczywiście za przykładem Władzi kupił także tę „powieść amerykańską“... i po lekturze książki doszedł do identycznych wniosków w jej ocenie, jak przyczyną pensjonareczka sprzed księgarni w Sosnowcu. Książka według p. X przynosi wstyd kolegium redakcyjnemu „Biblioteki Romansom i Powieści“ „już w pociągu zacząłem czytać i stopniowo włosy podnosiły mi się na głowie“), zawiera „cały szereg opisów domów rozpusty, scen wulgarnych itp.“ Pan X cytuję kilka wypowiedzi, które mają zdyskwalifikować autora powieści i wyraża przy tym nadzieję, że wyjątki te zostaną z artykułu przez redakcję skreślone...

Panie X! Włosy „podnosiły mi się na głowie“, gdy czytałem Pańską wypowiedź. Oczywiście nie z powodu owych cytowanych przez Pana wyjątków! Jeśli jako przykład wulgarności podaje Pan np. takie zdanie (str. 16): „...syn, krótko mówiąc“ — a nie wyjaśnia (lub nie chce wyjaśnić), że zdanie to wypowiada maltretowany robotnik pod adresem właściciela plantacji, zdziwcy, wyzyskiwacza, gwałciacza i okrutnika, który nie jedno życie ludzkie ma na sumieniu, skoro wyrzyna Pan zdania i fakty z kontekstu całości, nie tłumacząc ich, ani nie chcąc zrozumieć intencji autora, chociaż są one przejrzyste i jasne, no to oburzać się trzeba tylko i wyłącznie na Pana!

Nie zastanawia Pana nazwisko postępowego i znanego na całym świecie autora powieści „Kakao“, pisarza brazylijskiego Jorge Amado? Beztrako pisze Pan „powieść amerykańską“ (czy dlatego, żeby wywołać złudzenie „północno — amerykańską“ i łatwiej móc przemycić napaść na postępową powieść?), a nie dodaje (czy celowo?), że tematem powieści jest życie robotników rolnych, wyzyskiwanych przez właścicieli wielkich plantacji kakaowych, że tematem jest budzenie się świadomości klasowej wśród robotników rolnych, tak, tych robotników (teraz ja cytuję), których stopy od ciężkiej, źle opłacanej pracy „nabrzmiwały, puchły, palce naderwane u nasady krwawiły otwartymi ranami“, robotników, których kobiety właściciel plantacji może bezkarnie gwałcić i posyłać na „ulicę błota“, których dzieci o „posępnych twarzach“ „z rozdeptanymi brzuchami od spożywanego ziemi“, „powleczone bladej skórą, noszą dziedziczne piętno straszliwych chorób“...

Pan X widzi tylko domy rozpusty i „wulgarnie sceny“, a nie dostrzega oczywistej prawdy, że te domy rozpusty, ta cała ulica błota, prostytucja, niedza, głód, choroby, owrzodzone ciała to nieodłączne rekwizyty ponurego systemu kapitalistycznego, systemu z którym walczy w powieści „Kakao“ Jorge Amado.

W swojej notce Pan X na zakończenie pisał: „Jak więc teraz wygląda Kolegium Redakcyjne „Biblioteki Romansom i Powieści“?“ My się pytamy: jak więc teraz wygląda Pan, Autorze ziej korespondencji?

Nota nie ma charakteru rozmowy osobistej z panem X. Walczy tylko z opinią, niewątpliwie w ten czy inny sposób szerzoną w środowisku pana X i jemu podobnych.

Nie „brzydka“ książka „Czytelnika“, jak chciał p. X, ale **pożyteczna książka „Czytelnika“**.

t. p.

Kuźnie socjalizmu

Nota entuzjastyczna?

Do tego upoważniałyby cyfry: w latach 1937—38 było w Polsce 189 szkół i kursów zawodowych rolniczych, łącznie z ludowymi szkołami rolniczymi. W szkołach tych pobierało naukę 8.509 uczniów. W roku 1945—46 mamy już 765 szkół (nie licząc tych, o których nie otrzymano danych) na ogólną liczbę 17.000 uczniów. W r. 1948 przyszkolenie rolnicze objęło 1.700 nauczycieli, 25.000 uczniów szkół średnich, oraz olbrzymią, 450.000 rzeszę młodzieży wiejskiej, objętej obowiązkiem powszechnej oświaty rolniczej. Plan pracy na rok 1949 przyjęty na odprawie naczelników oświaty rolniczej w Ursynowie koło Warszawy (styczeń 1949 rok) przewiduje dalszy rozrost szkolnictwa zawodowo-rolniczego na szczeblu powszechnym, średnim i wyższym (przy czym w samych liceach branżowych, których jest teraz 200, liczba uczniów podniesie się do 16 tysięcy, gdy w roku 1937—38 liczba absolwentów **wszystkich** szkół i kursów zawodowych rolniczych wynosiła 4.875 (R. S. 1947).

Cyfrę — oczywiście — jeśli jeszcze nie entuzjazm — budzą otuchę. Ale same cyfry nie wystarczą. Na odbytych ostatnio obradach naczelników oświaty rolniczej w Ursynowie min. Dąb-Kociot oświadczył, że szkoły rolnicze muszą stać się kuźnią socjalizmu,

a każdy uczeń ze szkoły rolniczej aktywnym bojownikiem i budowniczym nowej sprawiedliwej struktury społecznej.

Oznacza to, że szkoły rolnicze muszą przygotować swoich absolwentów do zadań, jakie stoją przed nimi w zdanianiu do gospodarki socjalistycznej. W związku z przebudową ustroju gospodarczego, powstawaniem spółdzielni produkcyjnych na wsi, szkoły rolnicze muszą dać nowy typ pracownika — budowniczego rolnictwa socjalistycznego, uwolnionego od pokutujących jeszcze szkodliwych tradycji ekonomii burżuazyjnej, wolnego od przesądów „wiecznych praw natury“, dogmatów ziemi, praw zmniejszających się przychodu z ziemi i innych „naukowych“ praw. Poza tym jeszcze jedno. Wiedza rolnicza, jak każda inna, miała zawsze i ma klasowy charakter, to znaczy, można jej używać w interesie bogatych lub średnio- i małorolnych chłopów. Dlatego bez oznaczenia politycznej funkcji nabywanej w szkołach rolniczych wiedzy, bez wyraźnego przekazania jej w służbę dla małego i średniorolnego chłopca — nie będą ośrodki szkolenia rolniczego — kuźniami socjalizmu. A przecież czas po temu — najwyższy.

k. m.

O pewnej katechetce i budżecie Ministerstwa Oświaty

Obywatelu Redaktorze!

Czy słyszeliście coś o tzw. katechetkach?

Jest w naszej wsi jedna pani, która uczy religii w pobliskiej szkole. To właśnie katechetka. Jedną z tych, które za pozwoleniem władz duchownych(!) zastępują księży w nauczaniu religii w szkołach (znowo wielkie, ale kościarzy mało). Córka 15-hektarowca, 25 lat, po maturze, panna. Ta pani fałszywie tłumaczy ostatnie wypowiedzi członków KC PZPR na temat zeświecczenia szkoły rozwija w gronie miejscowej kułackiej i klerikalnej młodzieży szczególną działalność propagandową, zmierzającą do wywołania wrażeń, że rząd w ogóle zabrania wychowywać dzieci w duchu religijnym. Nie na tym jednak koniec. Propaganda pani K. idzie dalej. Wychodząc z założenia, że usuwa się naukę religii ze szkół, pani K. opowiada o celowej polityce rządu zmierzającej do obniżenia poziomu nauczania w szkołach, a jako dowód podaje wzrost liczby szkół zawodowych („które mają kształcić tylko szewców i krawców, a gdzie „wiedza o gólni“?), oraz istotnie duży procent analfabetów w naszej gminie. Ci analfabeci najdobitniej mają służyć za dowód, jak w Polsce dba się o oświatę i jak to stacząmy się coraz niżej“.

Nie idzie mi o panią K., ale jako nauczyciel nie mogę przejąć obojętnie obok tego zjawiska. I nie pani K., ale chłopom mojej wsi, szczególnie tym łatwowiernym, za pośrednictwem Waszego pisma, Redaktorze, chcę zadać kilka pytań.

1) Czy wiecie, że w Polsce w latach 1933—39 każde co 10-te dziecko nie znajdowało miejsca w szkole, a dopiero co szóste dziecko chłopskie docierało do klasy piątej, albo szóstej szkoły podstawowej?

2) Czy zdajecie sobie wobec tego sprawę, że obecny stan analfabetyzmu to najsmutniejsze dziedzictwo rządów przedwojennych, że w Polsce w roku 1931 odsetek analfabetów wynosił 31 procent, gdy w krajach np. skandynawskich nie sięgał jednego procenta?

3) Czy wiecie, że w roku 1937 na każde 10 tysięcy mieszkańców studiowało na wyższych uczelniach 13 słuchaczy, ale czy wiecie też o tym, że w roku 1948 na tę samą liczbę ludności pobiera naukę 40 studentów i w tym coraz większy procent młodzieży chłopskiej i robotniczej?

4) Czy znacie ostatnie sprawozdanie z posiedzenia plenarnego Sejmu Ustawodawczego z dnia 10 stycznia, na którym przedłożony został przez rząd R. P. preliminarz budżetowy na rok 1949 i w tym preliminarzu największe sumy przeznaczono na oświatę? Budżet Ministerstwa Oświaty łącznie z wydatkami na oświatę w innych resortach wynosi **73 miliardów 689 milionów zł co stanowi 22,7% całego budżetu państwowego**. Ze wzrost procentowy wydatków na oświatę w stosunku do roku 1948 wynosi 98,9%, gdy np. w takim kraju marshallowskim jak Francja budżet szkół powszechnych spadł z 7,2 % do 5,8%.

5) Czy wiecie, że w bieżącym roku uruchomiono 3411 szkół średnich zawodowych z 836.790 uczniami, że powstają nowe szkoły powszechne, gimnazja, że w akcji odbudowy

wsi odbudowę budynków szkolnych stawia się na równi i wyżej od innych inwestycji gospodarskich?

6) Czy odpowiedź na to pytanie nie brzmi inaczej, jak tak, że dopiero Rząd Ludowy jest **rządem pokoju i oświaty**, a polityka pokojowa występuje najdobitniej w wydatkach budżetowych na oświatę?

Obywatelu Redaktorze! List mój proszę traktować jako zamówienie na prenumeratę. Proszę o przysyłanie 15 egzemplarzy „Wsi“ na załączone adresy. Będzie to najlepsza odpowiedź na szeptaną propagandę różnych katechetek.

Józef Kolasiński

Ślaskowice, 1. 1. 49 r.

Robotniczy patriotyzm

W ostatnich miesiącach prasa doniosła o całym szeregu faktów awansu zwykłych robotników (i robotnic) fabrycznych na odpowiedzialne stanowiska dyrektorów fabryk, hut, kopalń. W tych dniach otrzymuje Złoty Krzyż Zasługi były robotnik, obecnie inspektor kopalń i wicedyrektor, polski reemigrant z Francji, górnik Zieliński. Jako rebasec, górnik Zieliński jeszcze w listopadzie ub. roku wykonał ponad 720 proc. normy (co równa się wydobyciu w ciągu jednej dniówki około 44 ton węgla). Oczywiście górnik Zieliński i inni nie dlatego zostają dyrektorami, że „nadludzkim“ wysiłkiem osiągają rekordowe wyniki swojej pracy, lecz dlatego, że ich rekordowe osiągnięcia są wyrazem ich „patriotyzmu robotniczego“, powstają w wyniku współzawodnictwa pracy, w wyniku nowego stosunku robotnika do pracy, stosunku przejawiającego się w dyscyplinie pracy, w punktualności, rzetelności, **wynalazczości, ciągłym ulepszaniu metod pracy indywidualnej i zespołowej**.

To zjawisko awansu społecznego „ludzi dołów“ jest charakterystyczne i możliwe tylko w ustroju socjalistycznym (izotowcy i stachanowcy w ZSRR), towarzyszy każdej rewolucji, która wyzwala ludzi pracy ze stanu robotów — niewolników kapitalisty do godności gospodarza warsztatu pracy. Jest ono wyrazem dojrzałości klasy robotniczej. Lenin widział początek socjalistycznych stosunków tam, „gdzie ujawnia się ofiarna, przezwyciężająca wszelki trud troska szarych robotników o zwiększenie wydajności pracy, o ochronę każdego puda zboża, węgla, żelaza i innych produktów“. (C. Bobińska, „Nowe Drogi“ Nr 6). Wydajność pracy — pisze Lenin — „to w ostatecznym wyniku **rzecz najważniejsza, najcenniejsza dla zwycięstwa nowego ustroju społecznego**“.

Wydajność pracy jest to także „zwyczajstwo nad własną skostniałością, rozprężeniem, drobniomieszczańskim egoizmem, nad nawykami, które przekłety kapitalizm pozostawił w spadku robotnikowi i chłopom“ (Lenin).

Dlatego z radością notujemy fakt odznaczenia jeszcze jednego robotnika — dyrektora Krzyżem Zasługi.

k. m.

Jeszcze o pochodzeniu człowieka

Ciekawy artykuł Jakuba Zdroja „Sprawa pochodzenia człowieka“ zamieścił (203) numer „Tygodnika Powszechnego“. Dowodzi w nim autor, że teza o pochodzeniu człowieka od małpy została ostatnio definitywnie obalona przez uczonego austriackiego O. Wilhelm Schmidta. Źródło nazywa osiągnięcia naukowe O. Schmidta — rewelacyjnymi. Dlatego, że ten dlatęgo, że nie rozumie sensu darwinizmu i teorii ewolucji — i nie śledził wielkich osiągnięć darwinistów radzieckich. Powołując się na O. Schmidta stara się uzasadnić, że człowiek nie pochodzi od małpy. Równocześnie stara się dowiedzieć, że człowiek od początku swego istnienia nie uległ żadnym zmianom. Już od pierwszych dni swego ziemskiego bytu miał tę samą pionową postawę, ten sam kształt kości — być może nawet myślał tymi samymi kategoriami, co człowiek współczesny. To myślenie niematerialne nie może powstać z materii, należy przecież do innego porządku“. (Ot, tak powiedziane sobie bez uzasadnienia a priori — dlatego. Bóg tylko wie). A więc. Pytanie pierwsze — od jakiej małpy pochodzi człowiek — dlatego autor ciekawego artykułu nie precyzuje tego zagadnienia, a uderza teorię ewolucji w tezę, której ona, w jej współczesnym brzmieniu, nie wypowiada. Człowiek, jak dowodzą współcześni darwiści, nie pochodzi przecież od małpy w abstrakto, od małpy w ogóle — ale od pewnych form pierwotnych istot, zbliżonych kształtem do małpy. Nikt też nie powiedział — jak chce Źródło — że pewne gatunki małp nie mogą być późniejsze od człowieka. Kto zaś twierdzi, że rozwój człowieka od form niższych do wyższych odbywał się w prostej linii wstępnej — a nie drogą dialektyczną — postępu, skoków, reakcji itd. A więc znów uderzenie w próżnię. Rewelacja przestaje być rewelacją. Zapewne tylko dlatego, że Źródło nie zna współczesnej nauki.

Wydaje się jednak — to jest pytanie drugie — że czcigodny Źródło nie rozumie jeszcze jednej sprawy. Chciał w swym artykule podważyć założenia teorii ewolucji i materializmu i wzmocnić założenia teologicznej teorii pochodzenia człowieka. I cóż? Biedak nie rozumie nawet, że boska ingerencja jest nadal tak samo odległa od procesu rozwoju przyrody a więc i człowieka — jak była przed ogłoszeniem jego artykułu. A powoływanie się na uczonych (niebardo, jak wynika z artykułu, samodzielnych) jest metodą wyraźnie niewystarczającą. Dziesiątki uczonych — w przeszłości i dziś — kruszyło sobie żeby na materializm i materializm się ostał. A żeby skruszały

Źródło zaś jest nadal Don Kichotem, który nadaremnie naciera na wiatraki.

K. S.

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL.

Redaguje Komitet.

Adres Redakcji i Administracji: Łódź Piotrkowska 133. tel. 100-98

Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ
REDAKCJA REKOPISÓW NIE ZWRACA

Ogłoszenia przyjmuje: Administracja — Łódź, ul. Piotrkowska 133. Telefon 100-98
Warunki prenumeraty: miesięcznie 80.— zł; kwartalnie 240.— zł; półrocznie 480.— zł; rocznie 960.— zł. Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO Łódź VII—1080.

Drukarnia Nr 4 Sp. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik“ — Łódź, Zwirki 2
D—02573